POCAŁUNEK MATKI.

Urywek z dziejów średniowiecznych.



Markgraf Henryk szlachetny, pan Turyngji, Misnji i ziem saskich, pomny jak mu ciężko było odzyskać ojcowskie dzierżawy, gdy w pacholęcych swych latach pozostał sierotą, postanowił swą ojcowiznę i nabyte przez się kraje, za życia jeszcze swojego, między czterech podzielić synów. Trzej młodsi dostali dział na utrzymanie książęce dostateczny, Albert zaś najstarszy otrzymał piękną ziemię Turyngji a przy błogosławieństwie ojcowskiem i żonę dostojnego rodu; albowiem zasługi markgrafa Henryka tak były cenione przez panujący wówczas ród cesarski, że córka potężnego Fryderyka II zaślubioną została synowi markgrafa.

Z błogosławieństwem więc ojca, piękną i cnotliwą małżonką przy boku, w poczcie mężnych rycerzy i nadobnych dziewic, Albert wjeżdżał na swą stolicę. Wartburg brzmiał odgłosem radości, szmerem powitań i rozmów a w dnie pogodne róg myśliwca zwoływał rycerzy na łowy; miewały w nich udział szlachetne panie bo i sama księżna nie gardziła tą rozrywką. Nic przeto nie brakowało młodemu władcy Turyngji do szczęśliwego i pożytecznego życia, wszystko co człowieka uzacnić, co serce jego uradować i umysł podnieść może, było mu danem od Boga; czemuż więc młody książe ponuro w ziemię wzrok swój zatapia, czemu niechce być wesół kiedy inni weseli, czemu nie słucha nauk nadwornego kapelana i ucieka od pańskich ołtarzy? Może go tak dręczy chęć pozyskania cesarskiej korony do której po wygaśnieniu rodu szwabskiego, mógłby śmiało rościć prawa, jako mąż Małgorzaty i ojciec trzech ślicznych chłopiąt, wnuków Fryderyka II, może radby ukrócić rozboje baronów po gościńcach i zamierza przyłączyć się do związku miast nadreńskich, którego celem jest pohamowanie tych rozbojów? (1) lub też układa wyprawę krzyżową by na Saracenach pomścić klęski chrześcian i niewoli św. Ludwika króla Francji? czy może widział jakie arcydzieło włocha Cimabue i wyszukuje sposobów sprowadzenia tego malarza do Turyngji? Co mu jest i dlaczego taki zły, ponury, groźny? darmo wypytuje go o to czuła i wierna żona i napróżno chcą zbadać przyczynę tej złej woli dworzanie, książe jest niezbadany i coraz bardziej gniewny, nie chce patrzyć na ludzi, a dzieci swe odtrąca od siebie.

Wszakże tajną myśl księcia zna ktoś na Wartburgskim zamku, Albert bowiem częste wycieczki sam jeden odbywa po lesie, nikt wtedy nieśmie mu towarzyszyć, tém bardziej śledzić jego kroków, lecz jest ktoś, kto pod cienistym klonem czeka na przybycie księcia i wtedy Albert spogląda wesoło, uśmiecha się łagodnie, lecz rozmawia zawsze półgłosem... Małgorzata ks. Turyngji dba o dobro swych podwładnych, więc okoliczne ubóstwo hojną opatruje zapomogą, wszakże gdy własna niemoc lub choroba dzieci, nie dozwalają księżnie pełnić swych miłosiernych chrześcianki i pani obowiązków, podówczas Małgorzata wybiéra którą z dziewic swego dworu, a dodawszy jéj ochmistrzynię do towarzystwa, posyła do chorych i ubogich w okolicy. Lecz najgorliwszą do takich posług okazała się piękna Kunegunda Eisenberg, dziewica szlachetnego rodu, wyniosłego umysłu i we wszystkiem chciwa pierwszeństwa; wady te jednak mają swą dobrą stronę, bo Kunegunda acz w strojach, tańcu, dowcipie, sztuce podobania się pragnie prześcignąć towarzyszki, jednak dba i o to aby żadna od niéj, za lepszą, skromniejszą i dobroczynniejszą nieuchodziła. Jéj tedy poruczyła księżna opatrywanie ubogich i za prawdę nikt tak gorliwie niechodzi koło ich dobra; dziwią się dworzanie, rada temu księżna Małgorzata lubo kapelan nadworny potrząsa głową i nieraz ze smutkiem na piękną dziewicę pogląda. Pod gałęziami klonu czeka więc o wczesnym ranku, dwie osób na księcia Alberta; jedną z nich jest Kunegunda Eisenberg, drugą ochmistrzyni dworu księżnéj—

---

(1) Są to właśnie zdarzenia współczesne.

młoda dziewica i w podeszłych leciech jéj towarzyszka drżą obie, lecz nie z jednakowych przyczyn; Kunegunda żali się na chłód poranku, ochmistrzyni lęka się aby je kto niewypatrzył!

— I cóż nam się stanie gdy nas kto postrzeże? zapytuje wyniośle Kunegunda.

— Ciebie i mnie wypędzi księżna, może nawet uwięzić każe, odpowie staruszka — i nie tylko ma władzę po temu, lecz sama sprawiedliwość wymagałaby tego.

Zbladło świeże lice dziewicy, piękne oczy we łzach zatonęły, w téj właśnie chwili nadszedł markgraf Albert i stanął zasępiony.

— Łzy, bladość na tém obliczu, które dla mnie zawsze było jasne jak słońce majowe i promienne uśmiechem — co to jest Kunegundo, płaczesz kiedy ja przychodzę, drżysz w chwili gdyś mię powitać miała! zawołał obrażony.

— Płaczę i drżę—odrzekła Kunegunda i witać niebędę władcy Turyngji, bo on ma żonę któréj służebnicą jestem, a żona jego, cesarska córa, mnie i mój ród w więzieniu zamknąć może.

— Zamknąć — cesarska córa — pomruknął Albert, czy Małgorzata domyśla się czego, czyś słyszała od niéj jakie pogróżki?

— Mnie jeszcze nikt w mém życiu nieśmiał grozić — dumnie odparła Kunegunda. Żona twoja Panie dotąd niewie, że zamiast nieść kordjały obdartym babom i starym żebrakom tych okolic — wolę patrzyé w piękne twe oczy i twojego słuchać głosu książe. Lecz ten las nie jest lasem zaklętym i wszelka ludzka stopa zajść tu, mimo twego zakazu — może. Kto wie czy sama księżna, wstawszy od kolebek dzieci przed któremi tak często klęczy, lub z dywanów swéj kaplicy gdzie co wieczór jak mniszka krzyżem leży. nieprzybłąka się w te strony w chwili naszéj schadzki..... a wtedy— ja się zabiję, bo umiem grzeszyć ale wstydzić się przed ludźmi niechcę i nieumiem.

Kunegnnda w zapalczywości swéj nierozważnie wywołała obraz Małgorzaty nad kolebką dzieci. Złe serce biło w piersi Alberta jednak przywiązanie ojcowskie tliło jeszcze w tém sercu, zamyślił się nad niedolą żony i miłością jéj macierzyńską i coś szlachetnego jakby litości uczucie, zabłysło na ponurém jego obliczn. Widząc to Kunegunda rzekła z boleścią i gniewem.

Żegnaj markgrafie Albercie! to nasze ostatnie widzenie się na ziemi. Jam nie cesarska córka lecz i dziewice rodu Eisenbergów nosiły książęce mitry — ja, wrócę do swoich.

Zostań Kunegundo błagał Albert, zostań dni jeszcze parę zaklinam, po dwóch lub trzech dniach wolno ci będzie uczynić co zechcesz. I rozeszli się w milczeniu. Ona pobiegła wesoło na Wartburgski zamek, Albert puścił się daléj w las ku chacie węglarza.

Czarna to była chatka, uboga, ze spróchniałych już desek, wbita na pół w ziemię. Troje ludzi ją zajmowało: węglarz, żona jego i syn ich wyrostek. Znali dobrze margrafa i bali się go okrutnie, gdyż za najmniejsze przestępstwo nieszczędził im kar surowych marszałek jego dworu; przelękli się więc gdy pana swego postrzegli przed chatą lecz pan choć groźny, zapytał spokojnie o ich syna. W chacie, odrzekła śmielsza nieco kobieta, co tam robi niewiem — zobaczę.

Wyrostek brudny, obdarty, z policzkami wyżółkłemi od nędzy i głodu, klęczał w kącie chaty przed małym krucyfiksem i mówił pacierz. Niemiał on jasnego pojęcia o Bogu— (wprawdzie któż z nas tém się poszczycić może)? ale wied ział tyle, że nas Bóg stworzył na to abyśmy Go chwalili, chwalił Go tedy jak umiał a znalazłszy wolną od pracy chwilę ukląkł do modlitwy. Kiedy matka go zawołała odwrócił głowę ku niéj powtarzając półgłosem: *I nie wódź nas na pokuszenie!*

A chodźże ty leniwcze, niedołęgo, mówiła krzykliwie, w tym bowiem tonie zawsze przemawiała do swego pierworodnego, który jako najstarszy z jedenaściorga dzieci, niedługo się cieszył pieszczotami rodziców, a potém choć już młodsze powymierało rodzeństwo zawsze był uważany za robocze bydle raczéj, niż za jedynaka.

Przyszedł markgraf Albert i pyta się o ciebie — mówiła matka; widząc zaś że chłopiec dokończyć chce pacierza, wypchnęła go przed chatę. Biedak niewiedział o co idzie, więc pokłoniwszy się do nóg markgrafa kończył: *i niewódź nas na pokuszenie ale nas zbaw ode złego.* Drgnął Albert uslyszawszy te wyrazy, ale się niebawem opamiętał i kazał chłopcu pójść za sobą w gęstwinę boru.

We dwa dni późniéj cały dwór Wartburgski wybrał się o wschodzie słońca na łowy; z Małgorzatą zostało na zamku kilka niższego stopnia służebnic i Albert von Wargul marszałek dworu księżnéj; piękna Kunegunda Eisenberg oraz inne szlachetne dziewice i panie towarzyszyły markgrafowi, taka była wola jego, a téj nikt nigdy sprzeciwić się nieważył. Dzień cały szybko księżnie upłynął; cierpiącą była trochę, ale przechadzka z dziećmi po ogrodzie, nabożeństwo, a potem wyszywanie złotem i jedwabiem w krosnach, przy czém nadworny jéj kapelan czytał dawne legendy, mile zapełniły godziny téj samotności. Pod wieczór, złożywszy drogie hafty przeznaczone ku ozdobie świątyń Pańskich, poszła do dziecinnéj komnaty chcąc, jak to było jéj zwyczajem, synów swych pobłogosławić, a zabawiwszy z niemi dłużéj nieco, udała się do kaplicy.

Stał już tam młody węglarczyk, obdarty, czarny i bosy; wszedł i stanął zadziwiony. Kolorowe szyby okien, żywot Chrystusa Pana wyobrażające, bogate kobierce posadzki, nadewszystko zaś na tle złocistém obraz byzantyjskiego stylu ucieczkę do Egiptu przedstawiający w trzech swoich częściach, potrójną

ramą objętych, wszystko to wydało mu się jakiemś niebiańskiem widzeniem. Wodził tedy okiem to po szybach, to po ścianach — czytać nieumiał; więc też średniowieczna sztuka swe twórcze natchnienia zamieniała w arcydzieła dla takich jak on prostaczków, a że były ich rzesze niezliczone, przeto religji i poezji mowę, malarstwo, rzeźba i architektura jęły uwydatniać dla rzeszy i prostak czytał z obrazów, posągów tudzież ścian kościelnych, tajemnicę Trójcy śtéj, cuda i mękę Zbawiciela oraz żywoty świętych pańskich. Węglarczyk przed takiem objawieniem religji i sztuki uczuł, jakby łuszczki spadały z ciemnych dotąd oczu jego ducha; coś mu rozwidniło się w życiu. coś zaświtało w przyszłości, a niewysłowione i nieznane dotąd uczucie nadziei, zachwytu, poruszyło jego piersią. W tém we drzwiach nowy ukazał się obraz, jakiś posąg, zapewne świętéj, gdyż na głowie złocisty miała czepiec a na ramionach purpurową szatę; krasa jéj twarzy, blask cudnego oka, białość drobnéj pierścieniami błyszczącéj ręki, wyraźnie dowodziły że to jakaś nadziemska postać. Ale ta postać zwolna zbliżyła się do ubogiego wyrostka i głosem słodyczy pełnym zapytała.

— Moje dziecię kto ci tu wejść pozwolił? Markgraf gniewa się srodze gdy lud prosty do kaplicy jego przychodzi, mógłbyś za to być wychłostany.

Pani złocista odrzekł węglarczyk jabym nieśmiał wejść w te cudne progi, ale mi sam Markgraf rozkazał. Ja przychodzę ukarać winowajczynię, która tu co wieczór krzyżem za pokutę leży, mam jéj odrąbać głowę siekierą — czy niewiecie jasna pani kiedy ona przyjdzie?

Małgorzata zdrętwiała ze zgrozy. Ale w żyłach jéj płynęła bohaterska krew Hohenstaufów, ród ten głośny z męztwa i zasług miał także smutną sławę nieszczęścia i zbrodni; wiedziała i czuła to dobrze iż cięży na nich wszystkich, straszna klątwa ludzka, za krew i łzy uciśnionych — a zatém oddawna pod ręką bożą ukorzona córka Fryderyka IIgo na wszelkie złe w tém życiu była przygotowaną. Wszakże niedowierzając temu aby własny małżonek, taki wyrok na nią wydał, zapytała węglarczyka czy on zna markgrafa Alberta? gdy zaś z odpowiedzi jego pokazało się że go zna dobrze, księżna bólem przejęta padła krzyżem w kaplicy. Węglarczyk dorozumiał się prawdy, ukląkł obok Małgorzaty i po krótkiéj lecz rzewnéj modlitwie księżnéj, widząc że się podniosła z ziemi, zapytał z pokorą co daléj ma czynić?

— Uciekać ze mną — odparła księżna bo i ciebie śmierć z rąk zbójcy nie minie, wszak zabić mię niechcesz i nikogo w życiu twém zabijać niebędziesz. Bo ty niewiesz biedny chłopcze, że wśród dziesięciorga przykazań bożych jest jedno: *Nie zabijaj.*

— O! pani jasna! zawołał chłopiec z głośnym wybuchem płaczu — ja pójdę z wami i służyć wam będę ale nauczcie mię przykazań bożych.

— Chodź za mną rzekła księżna i wróciła do swych komnat, gdzie von Wargul marszałek dworu czekał na jéj rozkazy.

Bladość i gorączkowe spojrzenie Małgorzaty zwróciły uwagę wiernego rycerza sługi, zapytał o przyczynę tego niepokoju, a księżna opowiedziała mu spotkanie z węglarczykiem.

— O, zawołał przerażony, uciekaj pani z tego nieszczęsnego zamku, ciężki tu wlokłaś żywot, uciekaj więc bo noc nadchodzi, markgraf powróci z łowów i znajdzie się coś pewniejszego jak siekiera tego prostaka.

— Boże com ja mu zawiniła, że mnie przestał kochać? może by lepiéj było żebym raz już umarła lecz z jego ręki—o nie, uciekajmy, uciekajmy, bo dzieci moje Bóg by skarał za zbrodnię ojca. Och! dzieci moje!......

Tymczasem von Wargnł zabrał klejnoty księżnéj, podróżną szarą opończę zarzucił na jéj ramiona, sam ze stajni wywiódł dwa niepozorne lecz zdrowe i silne konie, a powróciwszy do Małgorzaty zapytał: cóż zrobimy z tym węglarczykiem? Niech idzie z nami do Frankfortu, ja biorę go w swoję opiekę: tu, przypłaciłby życiem poczciwą swą prostotę.

Syn motłochu, w orszaku twoim Pani, to za nadto pokory odparł von Wargull.

Dla ciebie, potomka wielkiego wodza, któremu Margrafowie dzisiejsi zawdzięczają utrzymanie się przy Miśnji i Luzacji, dla ciebie mój wierny rycerzu, każdy kto złotych ostróg nienosi, jest motłochem, ale pamiętaj że Chrystus Pan nie był nigdy pasowanym na rycerza i że apostołów swych, wybrał wśród takich jak ten węglarczyk, prostaków, odrzekła Małgorzata.

Dłużéj niedał jéj mówić wierny sługa, z uszanowaniem wziął ją pod rękę i sprowadził na dół, lecz gdy przechodzili około dziecinnéj komnaty, księżna lekko otwarła podwoje wsunąwszy się jak cień, do sypialni swych synów.

Spał już młodszy synek Małgorzaty, maleńki Ditman. matka strumieniem łez oblała pościel dziecięcia, lekko całując drobniuchne rączki i różane usta, żeby niezbudzić śpiącego. Potem przypełzała na klęczkach do łóżeczka Fryderyka. Dziecię jakby przeczuwało ostatnie odwiedziny matki, leżało spokojnie z oczyma we drzwi utkwionemi; czy anioł stróż jego objawiał mu w téj chwili gorzką pod tym dachem przyszłość, czy też dusza dziecięca ściśle z duchem matki spojona, odczuwała bolesne matczynego serca wrażenia?

Gdy Małgorzata przychyliła się ku twarzyczce syna, on objął ją za szyję rączkami, całując z pieszczotą (jak to miał zwyczaj czynić) zapłakane oczy matki. Ona przytuliła usta do rumianych i pełnych jak róża stolistna, policzków dziecięcia i byłaby tak została na wieki, prosząc Boga żeby już innego niedawał jéj szczęścia w raju, gdyby nie głos rycerza, wzywający księżnę do pośpiechu.

Więc to raz ostatni, raz ostatni widzę was i błogosławię dzieci drogie, pomyślała nieszczęsna matka. Boże! za tę moją ciężką go-

dzinę niepamiętaj moim dzieciom win mego rodu! I wpoiwszy raz jeszcze usta swe w małego Fryderyka lice, w spazmie bolesnym konwulsyjnie ścisnęła zęby i trzy krople krwi jak trzy rubiny wystąpiły na twarz dziecięcia. Chłopiec niekrzyknął i niezapłakał: on czuł tylko cierpienie matki, oraz straszną jakąś tajemnicę, która w życie jego wplatać się zaczyna, von Wargull zaś przemocą oderwał księżnę od łóżeczka syna i téj nocy jeszcze puścili się w podróż do Frankfortu nad Menem.

Późno w noc wrócił dwór książęcy z polowania, późno msza śta odprawiała się nazajutrz w zamkowéj kaplicy, gdy się nakoniec wszyscy zgromadzili, a księżna Małgorzata jeszcze nienadchodziła, posłano do jéj komnat i z żalem wszystkich obecnych rozeszła się wieść — że téj nocy księżna gdzieś znikła. Wkrótce znak bolesnego pocałunku matki, jak krwawe piętno wyciśniony na obliczu Frederyka, zaczął zwracać uwagę pań i rycerzy, zwolna prawda wybiła się na jaw, a młody książe dostał przydomek: *Fryderyk ukąszony* i dzieje wiernie mu go przechowały.

Niedomyślała się Małgorzata że ten ostatni, tak widoczny pocałunek matki, stanie się dla jéj męża uprzytomnioną i ciągłą wymówką zbrodniczego zamiaru, a dla syna powodem nienawiści ojcowskiéj. Albert znienawidził Fryderyka *ukąszonego*, a kiedy po roku spędzonym we łzach i tęsknocie księżna Małgorzata zakończyła pełen boleści żywot, pan Turyngji, Kunegundzie Eisenberg ślubny oddał pierścień i dla jej syna chciał wyzuć z dziedzictwa synów Małgorzaty. Rósł więc Fryderyk wśród nienawidzących go osób, macocha prześladowała młodych książąt, lecz przewyższył ją w tém, własny ich ojciec. Gdy Stany Turyngji nie chciały w żaden sposób zezwolić, żeby syn Kunegundy miał dziedzictwo tego księztwa, Albert widząc tę ich dla Fryderyka wierność, kazał go wtrącić do więzienia. W podziemiach Wartburga młody książe przebył rok cały. bez światła, powietrza, nawet częstokroć bez wody i chleba, nakoniec tajemnie przez dworzan ojcowskich uwolniony, wezwał dla siebie i brata, opieki cesarza Niemiec Rudolfa Habsburgskiego. Mimo licznych a jawnych i bezkarnie puszczanych w tym wieku zbrodni, całe Niemcy oburzone były postępkami markgrafa Alberta; cnotliwy Rudolf Habsburg chciał pojednać ojca z synami, lecz bezskuteczne okazały się usiłowania cesarza i doszło aż do tego, iż Fryderyk *ukąszony* by swoje i brata ubezpieczyć życie i mienie, użyć musiał zbrojnéj siły i osadzić księcia Alberta na zamku Landsberg. Wdał się tu raz jeszcze Rudolf i markgraf Turyngji odzyskał wolność, wszakże bezustannie naprowadzał nieprzyjaciół w dzielnice synów Małgorzaty, w ciągłych przeto walkach upływało im życie aż 1286 umarła Kunegunda Eisenberg, a markgraf Albert po raz trzeci w małżeńskie wszedł związki z Adelajdą hrabiną Arenshug; ta, lepsze żywiła uczucia dla swych pasierbów, niż jéj poprzedniczka i nawet swą córkę wydała za Fryderyka *ukąszonego.*

Jéj też pomocy winien był Fryderyk zupełne odzyskanie Turyngji, w któréj na siedm lat przed zgonem ojca, zaczął sprawować rządy. Albert osiadł w Erfurcie, pogardą całych Niemiec obarczony i umarł w 1314 r. *).

Zdarzyło się że Ditman młodszy syn Małgorzaty padł pod nożem najemnego zbójcy w kościele śgo Tomasza w Lipsku, Fryderyk więc został sam jeden ze swego rodu, lecz choć pomścił śmierć brata i zwycięzcą z téj walki wyszedł, wszakże wojując z Wolmarem Brandeburgskim znów dostał sie w mury więzienne. Jeszcze raz przywiązana doń służba, przywróciła mu wolność, życie gładziej mu płynąć zaczęło, mądremi rządy zasłynął w Turyngji, pozyskał miłość podwładnych i mężnego rycerza sławę, ale pamięć ciągłych nieszczęść jakie od dzieciństwa go dręczyły, usposobiła go do przyjmowania samych smutnych wrażeń.

Raz przyglądając się dyalogowi o 5ciu pannach mądrych i 5ciu głupich, w tak głębokie popadł rozmyślanie, iż go nic już rozerwać niemogło.

„Niepuszczono je na weselne gody — powtarzał — gdyż niemiały lamp zapalonych! Kto nieświeci dobremi uczynki i cnotą, niewnijdzie na gody wiekuiste“. Z tą myślą i z tym w duszy niepokojem żył jeszcze miesięcy kilka, zakończył na apopleksję w 1326 r.

Na nim też skończyła się pokuta jego rodu. Fryderyk *poważny* następca *ukąszonego*, zjednał sobie tak powszechne w Niemczech uważanie, iż po zgonie Ludwika IV cesarza, jemu koronę cesarską oddawano. Nieprzyjął jéj markgraf lecz dom jego wzrastał odtąd w potęgę, znaczenie i dostatki — cnót niebrakło mu także. Potomkowie *ukąszonego*: Ernest i Albert, zasłynęli miłością i zgodą braterską, w albertyńskiéj linji znalazły się i królewskie korony (1) i następcy, którym przyznawano rozum, wspaniałość, odwagę (2). Zdarzały się błędy, jak to zwykle bywa między ludźmi, ale przeważały cnoty. Markgrafowie wyrośli na Elektorów, Elektorowie na mądrych i kochanych przez lud monarchów. Może to dla krwi swéj wymodlił Fryderyk ukąszony, pocałunkiem matki?

J. Janiszewska.

---

*) Wszystkie te postacie i wypadki, są ściśle historyczne.

(1) Polska i Saska.

(2) Fryderyk Mądry umarł 1530 r. Jan Frederyk Wspaniały umarł 1554 r.

CHLUBA STRAZBURGA.

Znów was, szanowni czytelnicy, przywodzę pod sklepienia średniowiecznéj katedry, a w opowiadaniach i uniesieniach swoich lękam się, zaprawdę, powtarzania. Wy szczególniéj, czytelnicy wierni *Kółka domowego*, którzy poklaskiem i współczuciem waszem podtrzymujecie byt jego od lat sześciu blisko, mieliście już do przesytu moich opisów tego rodzaju. Zwiedzaliśmy razem kościół św. Pawła i Westminsterski w Londynie, kilka świątyń paryzkich, św. Gudulę brukselską, sławne katedry w Rouen, Kolonji, Antwerpji. A teraz znów oto pragnę stawić przed waszemi oczyma, nie mniéj sławną w środkowej Europie, perłę architektury, jak hymn wzniosłą, jak myśl geniuszu świetną, a rozrzewniającą jak modlitwa z serca płynąca, katedrę Strazburgską. Na podobieństwo Antwerpskiej, jedną lekką smukłą wieżycą, wypieszczoną w szczegółach, pełna gaueczków, załamków, kolumn obwieszonych koronkami z kamienia, w niebo wskazuje. Wieża ta, z lewej strony, północnej się wznosi, z prawej głównego wejścia jest druga, niby ucięta. Front świątyni przedstawia pod trzech arkad sklepieniem, trzy wejścia, nad któremi piętrzy się gotycka fasada groźna i wykwintna zarazem, tak to tam wysoko te łuki biegną, z tak miniaturowem wykończeniem rozsypują się w około ozdoby, będące całym poematem życia Chrystusa, niby medalion w monstrancji, rękoma Benvenuto-Celliniego rzeźbionéj. Spaja je w pośrodku jak klamra sadzona rubinami i diamentami, przzpyszne okno w kształcie rozety, arcydzieło artystów, o kolorowych szybach, w sposób jaki się do dziś dnia napróżno kuszą naśladować.

Podróżny zapatrzywszy się na ten fronton wspaniały. co jak tytułowa karta wielkiego dzieła, daje dopiero jego piękności przeczuwać, ma chwilę niepewności, od czego zacząć. Obejrzeć wnętrze katedry, czy wejść na wieżę? Najstosowniej byłoby zacząć od pierwszego, a dopiero z wysoka rzucić spojrzenie na Strazburg i okolice, ale godzina 12 południa występuje tak oryginalnie na sławnym zegarze Szwilgego, że warto w tym właśnie czasie, zajść do wnętrza kościoła, a to tém ważniejsze dla tych, co jak ja pociągiem wychodzącym o 1ej po południu, francuzką ziemię opuścić mają.

Stare tradycje przechowane w kronikach miasta, wspominają, że katedra zbudowaną została na wzgórzu, gdzie jeszcze pogańscy Celtowie bogowi wojny, ludzkie poświęcali ofiary. Był tam wtedy jeszcze gaj święty, pośród którego wznosił się kamień, ołtarz druidów. Gaj ten po zdobyciu Galji przez Rzymian został wycięty, na jego miejscu wzniosła się świątynia Marsowi i Herkulesowi poświęcona, a w około zabudowało się miasto zwane *Argentorat* czyli miejsce gdzie przechodzą rzekę—bród. Później frankowie przemienili tę nazwę na Strazburg, ich królowie obdarzali sowicie miejscowych biskupów, co im dozwoliło zdobić kościół na zwaliskach pogańskiej świątyni powstały, w jakim jednak czasie; tego ze ścisłością nie oznaczają kroniki. Ten, który dzisiaj oczy naszego pokolenia oglądają, zbudowany był dopiero w XIII wieku, za pomocą składek bogatych duchownych i licznie udzielanych odpustów. W XIV wieku prowadził jeszcze roboty wielki architekt Erwin Steinbach, którego wszystkie dzieci były artystami. Córka Sabina wyrzeźbiła kilka posągów znakomitych, syn Jan po śmierci ojca kończył katedrę. Przeszła ona w czasach reformacji do protestantów, którzy zachowali w niej wszystko ze czcią największą. Lecz burze powietrzne, pioruny, trzęsienia ziemi, nie miały takiego dla wspaniałych murów poszanowania, z tego powodu ciągłe reperacje, będące często wyrazem zepsutego smaku epoki, psuły majestatyczną ich piękność. Aż nadeszła burza polityczna, rewolucja— i dwieście trzydzieści kilka posągów świętych i królów, padło pod obuchem zniszczenia. Był nawet jakóbin Teterel, tak wielki równości zwolennik, że radził zwalić całą katedrę, z téj jedynie przyczyny, że wysokością swoją o wiele sąsiednie domy przewyższała. Wniosek ten nie został przyjęty, dla ukojenia jednak skrupułów żarliwego niwelatora, zawieszono na wieży katedralnej, olbrzymią czapkę czerwoną z malowanej blachy. Czapka ta przechowuje się dotąd między osobliwościami biblioteki, naprawę zaś uszkodzonych często ozdób katedry, troskliwa o chlubę swego miasta municypalność strazburska, najbieglejszym tylko artystom powierza. Najbardziéj szczegółowe wiadomości o jéj budowie, zawarte są w kilku specialnych dziełach francuzkich i niemieckich: *Essais historiques et topografiques sur l'église cathédrale de Strasbourg*. *Das Münster zu Strasburg* etc.; a jedno z nich *Vues pittoresques de la cathédrale de Strasbourg*, daje nawet z rysunkami widoki cudnéj okolicy, którą wstąpiwszy na 360 schodów wiodących pod kopułę katedry, dojrzeć można. A przestrzeń to niemała, po której z téj wysokości zachwycone i zdumione bieży oko. Jest to zrazu chaos wrażeń, który dopiero po chwili porządkuje się w umyśle. Tuż pod stopami ściele się miasto z ulicami zbitemi, wedle dawnego stawiania miast obyczaju, domy wysmukłe, wąskie, ze stromo spadającemi dachami, na których zadumane stoją, wśród gniazd swoich bociany, będące tu w wielkiem poszanowaniu. Po za placem Guttenberga, którego posąg (dzieło Dawida) zaledwie do-

strzedz ztąd można(1), widać rysujący się ciężką massą kościół św. Tomasza; lecz wnet wzrok daléj wybiega, przywołany na krańce widnokręgu ciemnozębatemi linjami, któremi się znaczy łańcuch Wogezów, z przeciwnéj zaś strony wije się ta powabna wstęga, o djamentowych połyskach, poważna jak historja, którą bohaterowie krwią i szablą u jéj brzegów pisali, tajemnicza jak ten uroczy świat legend i tradycji, który za każdem jéj fal pluśnięciem, nowem zda się echem odzywać, wielka historyczna rzeka Ren, trakt Rzymian zdobywców, później ulicą księży przezwana, gdy od Kolonji do Strasburga. nadbrzeżne kraje stały się ich własnością. Prześlicznie rysuje się tu wśród zieleni łąk linia topoli, znacząc kanał, bez którego powiadają, równie jak i bez śluz, byłby wspaniały Ren ugrzązł w piaskach, jak najlichszy strumyczek płaskich pól naszych. Lecz wsparty umiejętnie i w porę, aż czterema ujściami bieży ku morzu, stając się pośrednikiem wszelkich komunikacji między narodami, a więc jednym z traktów postępu. Po za Renem ciemnieją góry Czarnego lasu, tu i owdzie strzelą w górę mury zamku, któremu dzisiejsza pieczołowitość, nie dozwala rozsypać się w gruzy, jakkolwiek upadło możnowładztwo, którego były siedliskiem. I tak wszystko się tu łączy; góry i lasy, woda i kolej żelazna; łąki przecięte fortyfikacjami miasta, rojącego się życiem, zamki do których się już ani pany, ani wazale nie cisną, a jaśniejące jeszcze świeżym tynkiem, jak stare babunie od różu i bielidła.

Przyłączenie Strazburga do Francji, nie losem wojny, a zręcznością, nazywa się wielkiem dziełem panowania Ludwika XIV; o tych wielkich dziełach zamyślić się tu przychodzi, patrząc na piękną Alzacji dolinę, którą, stojąc na platformie wieży strasburgskiej, obejmuje się okiem. Lecz i tu gdzie stoisz wędrowcze, oparty o kamienną balustradę, zaporę jedyną, co cię od przepaści oddziela, gdzie zaklęciem wyobraźni wywołujesz mary przeszłości i do przyszłości sięgasz zuchwale, ludzie uczeni dopełnili *wielkiego dzieła*. Zebrani w kongres wyprawili sobie ucztę na tych wysokościach i.... i popili się jak najpospolitsi pomiędzy pospolitemi. Nie sądzę żeby ich zestępowanie z wieży, było tak tryumfalne jak pochód wejścia.

Nie zdarzyło mi się wchodzić na żadną wieżę w sposób bardziéj zajmujący jak w Strazburgu, schody bowiem prowadzące do góry, są na zewnątrz niej, w przybocznych wieżyczkach; więc od czasu do czasu świta dzień jasny wśród ciemni schodów, wychodzi się na jakiś ganeczek, dostrzeże się obrazek powabny lub dziwny, zajrzy w oczy jakiemu świętemu lub królowi, co stoi tam w kamienną postać zaklęty. Wielkie płyty ciosowe utrzymują komunikację z wnętrzem wieży, i tak między innemi, w téj na górę wędrowce, można obejrzeć dzwony, ów spiżowy alfabet którym świątynia do uszu wiernych przemawia. Na raz ta fantastyczna droga rozpływa się w szeroką przestrzeń. Są to galerje które obiegając wieżę do koła, tworzą na niej wspomnianą płaszczyznę (plateforme). W pośrodku znajduje się piramida ośmiokątna, będąca gromadą lekkich, smukłych wieżyczek, sześcioma piętrami postawionych jedne na drugich. Tam już tylko niech śmiałkowie wstępują, chociaż bowiem są w kilku punktach schody kręcone aż do miejsca, w którem z téj kopuły rozchodzą się poziomo ramiona krzyż tworzące, to są tak wązkie, ciasne, filigranowe, na zewnątrz murów się czepiające, że chyba gardząc życiem, możnaby się na nie narażać.

Lecz dwunasta godzina się zbliża, spieszmy na dół do owego zegaru, któremu podobnego nigdzie indziej się nie zobaczy. Tymczasem obchodzimy zewnątrz katedrę, obejmując okiem całość jéj majestatyczną. Tu posągi świętych, tam monarchów, artystów; nad boczném wejściem z prawej strony kościoła rzeźba, któréj nikomu ze zwiedzających opuszczać nie radzę, takie to wymowne dzieło sztuki przedstawiające boleść matki Boga, na któréj łonie spoczął syn z krzyża zdjęty. I zapłaczesz przechodniu ciężkiej żałości łzami, nad nieprzeliczonem cierpieniem, które po wszystkie wieki ludzkość krzyżuje...

Dla wejścia do kaplicy zegaru, przechodzi się na stronę lewą kościoła, a na wstępie już uderza pięknością kolumna z pęku drobniejszych złożona kolumn, która sklepienie podtrzymuje. Trudno wyobrazić sobie coś wdzięczniejszego dla oka. Przy jéj kantach wznoszą się posągi: poniżéj czterech ewangelistów, wyżéj czterech aniołów z trąbami w ręku, wszystko tworzy całość poważną i lekką zarazem, dzieło sztuki, które przypisują, co do wykonania posągów, Sabinie Steinbach, córce architekta. Lecz oto koło zegaru, który zrazu wygląda jak ołtarz jakiś ogromny, gromadzą się w znacznéj liczbie ciekawi; pięć minut tylko do dwunastej brakuje i każdy w oczekiwaniu, przygląda się tymczasem całości. Zegar ten wykończony był ostatecznie r. 1842 przez Szwilgego mechanika ze Strazburga, ale jest on już trzecim zegarem z kolei. Był w XIV wieku zegar astronomiczny, zwany zegarem *trzech króli*, jak na owe czasy, arcydzieło mechanizmu; rzeźbieni z drzewa trzej królowie przed Matką Boską, oddawali jéj pokłon co godzina, tymczasem wyżéj kogut piał i trzepotał skrzydłami, a muzyka przygrywała. Ponad tém wszystkiem umieszczony był kalendarz powszechny. W XVI jednakże wieku zegar ten był już zepsutym i na przeciwległéj ścianie, w tém miejscu, gdzie go widzimy obecnie, pod kierunkiem trzech uczonych matematyków, rozpoczęto budowę zegara r. 1547, ukończoną przez innych już robotników aż w roku 1574. Ten zegar skomplikowany i

(1) Postawiony w 1840 r.

niepospolicie kunsztowny, szedł do czasu wielkiej rewolucji; dzisiejszy zaś jest tylko jego udoskonalonem powtórzeniem, odpowiadającém obecnemu rozwinięciu nauk astronomicznych. Schwilge zastąpił dawny kalendarz nowym, wskazującym święta ruchome. Jest tam oprócz tego cały systemat słoneczny według Kopernika, z wyrachowaniem zaćmień słońca i księżyca; kogut pozostał także z dawnych czasów, lecz pieje z większą elegancją i precyzją, jak na wychowanka XIX wieku przystało. Zresztą przyznać trzeba, że widok tego całego mechanizmu, (jakkolwiek to można nazwać tylko szopką na wielką skale) połączony z oczekiwaniem licznej rzeszy, budzi zajęcie. U góry zegarowego cyferblatu, jest nieunikniona śmierć z kosą, daléj dwaj geniusze z klepsydrą w ręku, cztery wieki człowieka, dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały i zgrzybiały, z których każdy z kolei kwadranse każdéj godziny wygłasza. W pośrodku tego wszystkiego siedzi nieruchomie, poważnie Chrystus. Patrzymy, już ostatnia minuta południowej godziny dobiegła, kogut wstrząsł się i zatrzepotał skrzydłami, u boku ganeczku przed którym siedzi Chrystus skrzypnęły drzwi. i cichutko, majestatycznie, wysunął się pierwszy apostoł. Przechodząc koło wizerunku Pana nad pany, skłonił się, a ręka tegoż udzieliła mu błogosławieństwa. I tak przeminęło dwunastu, dwanaście uderzeń godziny, któréj kur wesołém, przeciągłém zawtórował pianiem.

Wnet rozpierzchliśmy się wszyscy, zamykano świątynie, a przed odejściem pociągu kolei żelaznéj, zaledwie zdążyłam zajść do kościoła św. Tomasza, gdzie jest wspaniały grobowiec Maurycego Saskiego, syna Augusta II; dzieło to artysty Pigel'a. Pokazują tam również dwa doskonale zachowane ciała księcia Nassau Saubrique i jego córki, które wydobyto z podziemiów kościelnych. Samo miasto lubo powabniej z wysoka wygląda, jest jednak ożywione gwarem złéj niemczyzny i francuzczyzny nie lepszéj. Oprócz zwykłéj ludności, napełnia je wielu podróżnych, którzy tu umyślnie z dróg niemieckich zbaczają dla zobaczenia nie miasta naturalnie, ale jego chluby, jego najwyższéj pieczołowitości przedmiotu, zdawna sławnej katedry.

J. Dobieszewska (Smigielska).

OPOWIADANIE RÓŻY.

Fantazja.

Byłam kiedyś białym kwiatkiem, wyrośniętym na wysmukłéj łodydze.

Piękne dziewice ze spojrzeniem niebios z uśmiechem aniołów, pielęgnowały mnie, a krzak na którym ujrzałam ziemię i obłoki, posadził ogrodnik, sędziwy staruszek z srebrzystym włosem, z pochylonemi barki.

Nazywano mnie różą; kiedym się odziała w szaty białe i perły z rosy lśniącéj, kiedym się owiała wonią świeżą jak oddechy wiosny, mówiono mi że jestem piękną.

Róża zawsze jest piękną. Wy ludzie pojmujecie to dobrze. Mówiąc o waszych dziewicach, powiadacie: piękna jak róża...... O! jakże im daleko do róży!.... Tylko na podobieństwo nas, więdną... schną i umierają. My umieramy dla tego, że więdniemy, one żyją, chociaż uwiędną.

Lilje spoglądały na mnie z zazdrością. Czemże jest lilja w obec róży? Mówią jej: biała — i nic więcéj — mnie mówiono zawsze: piękna O! gdybyście wiedzieli — jak tęskniły do mnie inne kwiaty! Narcyz mój sąsiad, śpiewał mi co rano pieśni miłości.. tulipan nazywał mnie królową, hjacent usechł zwolna patrząc na mnie — nawet wiośniany fijołek tulił się do listków moich i dzwonił mi swoje zaklęcia.... Miałam że ich kochać i to wszystkich? Stokroć wyżéj patrzałam — wyżéj posyłałam myśli moje i uczucia. Jest na niebie kwiat jeden, opromieniony pięknością nieskończonego świtu, bielszy odemnie. od lilji, od miłości saméj goretszy — i nazywa się słońce.... Kochałam go — dla niego co ranka stroiłam się w świeższe szaty, w djamenty rosy, w rozkosz woni.... I tęskniłam za nim. widząc siostry moje. które więdły i schły pod namiętnemi pocałunkami jego promieni.... Nie lękałam się dlań skonu, bom kochała bez granic.... I czemże mogły być dla mnie hjacenty — narcyzy — tulipany i fijołki. Byłam różą białą, piękną, kochanką ludzi, oblubienicą słońca!

II.

Jestem dziś już tylko uwiędłym kwiatkiem bez blasku i woni!

Jakże to smutna i bolesna prawda!

Widziałam raz piękną dziewczynę. Miała złote włosy rozpuszczone do kolan, usta niby z listków siostry mojéj i hjacentowe źrenice. Często nad strumykiem, nad którym rosłam, dziewczę to zawodziło piosnki dźwięczne i stroiło się kwiatkami polnemi. Raz przybiegła płacząca i skargę miała na ustach! twarzyczka jéj wykrzywiła się boleścią — bo wieść złowroga pognębiła jej serce. I przy-

padkiem spojrzała w cichych wód zwierciadło— a odskoczywszy nagle— krzyknęła:

— Jakżem zbrzydła!

Rozumiecież więc? Ona jednak nie zbrzydła tylko na chwilę jedną, a zapomniała o wszystkiem widząc się w spokojnej toni — i zatęskniła do swojéj urody. Cóż mnie dopiero? Byłam białą— piękną różą— dziś jestem tylko uwiędłym, żółtym, pomarszczonym kwiatem; jakże nie ma mi być żal mojéj piękności! Spytajcie się dziewic waszych— one wam to jaśniéj wytłumaczą.

pielęgnowała, ta sama ręka, która mnie pieściła rano, teraz zerwała mnie bez litości....

— Biedny kwiatku — szeptała — zabijam cię.. jakże cię żałuję?

Tylko człowiek tak może powiedzieć!... I czemuż mnie zabiła? Za chwilę spoczęłam na jéj piersiach. Bicie jéj serca przywracało mi siły... żyłam jak pierwéj, czułam.

Nielitościwa moja zabójczyni uniosła mnie, biegnąc śród krzaków i kwiatów... Żegnałam moją rodzinę, dzwoniącą mi zdala listkami smutną pieśń pożegnania. Siostry moje róże



Więc to raz ostatni, widzę cię i błogosławię.... (str. 291).

Kochanek mój ułożył się do snu za krańcami ziemi... Marzyłam o nim chwil kilka... i zasnęłam... Czułam przez sen, jak wilgotne oddechy wieczora operliły mnie lekkiemi kroplami rosy. Śniłam o nim. Sen wydawał mi się krótki — widziałam już różową jutrzenkę, oddającą mi mojego oblubieńca — wschodził wesoło i jaśniej jak zawsze; uśmiechał się do mnie.... Przez lekką powłokę snu dolatywał mię śpiew słowika, wtórującego marzeniom róż i lilji.... O! gdyby tak było zawsze! Na raz jakaż boleść — jakie cierpienie.., Czułam, żem się przebudziła — że mdleję - że mnie ktoś unosi zdala od macierzystéj łodygi. Niestety! Ręka mojéj piastunki, dziewicy, która mnie wy-

białe nie ujrzę was więcéj!

Spoczywając na białéj sukience mojéj pani, znalazłam się wkrótce między jéj podobnemi. Ujrzałam dziewice piękne, młodzieńców raźnych i światła świec jarzących..:. Jak im daleko do róż, lilji, hjacentów i narcyzów. Jak nędznie te ich blaski wyglądały w porównaniu z moim oblubieńcem.

Piękna! wołali, patrząc na mnie, piękna! szeptali, spoglądając w oczy mojéj pani.

I dowiedziałam się, że imię jéj Helenka.

Ktoś mówiąc o niéj, szepnął: anioł. Mój Boże! aniołowie więc zabijają? I czemuż mnie zabiła?

Z pośród młodzieńców jeden przybliżył się do nas.

Czułam że serduszko Helenki zabiło silniéj, ale to tak silnie, że jeden z lisków mojego kwiatka zadrgał i upadł na ziemię.

Wówczas młodzieniec pochylił się i podniósł go. Widziałam jak go przytulił do ust i patrzał w oczy mojej pani.

Ta szepnęła:

— Proszę mi to oddać... i spłonęła jak rubinowe moje siostry...

On spojrzał wejrzeniem błagalném, i milczał. Po chwili rzekł:

— Jutro już mnie tu nie będzie.... Jeden choć listek na pamiątkę.... może na całe życie?

Dziewczę drżało... On mówił daléj.

— I na cóż białe dziewice zrywają wonne, kwiaty? Litości!.. róża skona, jeśli ją uczucie, którego winna być zadatkiem, nie odżywi.

Mówił prawdę... Tymczasem Helenka stała drżąca, niby lilja nad srebrną wstęgą szemrzącego strumyka.

— Kocham, mówił młodzieniec, jutro mnie tu już nie będzie.

— Żegnam, poszepnęła Helenka, żegnam.

— Czy na wieki? mówił daléj, któż zaręczy że wrócę? I cóż zostanie z dni przeszłych? Wspomnienie... pamięć bez życia, jak grób, w którym zawarto wszystko, bez przyszłości? O! strokroć gorzéj... stokroć tęskniéj żegnać, skoro ukochane usta nie powtórzą lubego wyrazu... A zresztą... i cóż jest ten świat, który narzuca prawo przyzwoitości, nie bacząc na prawa serca? Ukochana moja... nie pytaj go o nic, zapytaj się siebie saméj, i Boga, i odpowiedz?

Helenka pochyliła zadumaną główkę, i po chwili podniosła ją z godnością, a patrząc w oczy młodzieńca, szepnęła: Kocham...

Pod dźwiękami czarownemi słowa, które się rozległy w fali drgającéj powietrza, ożyłam znowu... O! bo słowo kocham, jest wonią, którą Bóg zsyła, by podnieść piękność róży...



Dachy starych domów Strazburga (str. 294).

Zwolna przeszłam w ręce młodzieńca. Helenka tymczasem szeptała:

— Jedź Wacławie, jedź i nie zapominaj, że ten kwiat ma być pamiątką i zadatkiem. Ile razy nań spojrzysz niechaj ci przybywa sił do trudów i usiłowań.

Ustrój czoło twoje wieńcem czynu i zasługi, i powróć.

Więcéj nie słyszałam...... Spoczęłam na sercu młodzieńca i żyłam pełnią życia, ale bez nadziei jutra.

III.

Słyszałam raz mówiącego człowieka, że wonią jego jest uczucie a barwą czyn.

Ileż więc pomiędzy wami kwiatów bezbarwnych i bezwonnych?

A były chwile, żem wam zazdrościła uczuć i czynów. Bo i kwiat tęskni za czemś, co jest wyższe i piękniejsze od kwiatu. Późniéj, dziękowałam Bogu żem jest różą, bo stworzona na podobieństwo wasze, możebym także była bez woni i barwy!

Lubo zerwana nie usychałam długo. Pieszczona i przytulona do bijącéj silnie piersi, zazdrościłam jéj i tęskniłam do słońca. Częściej jak zawsze, pogrążałam się w śnie głębokim.. Smutne przeznaczenie zabitéj róży...

Zazdrościłam częstokroć siostrom moim

posadzonym w doniczkach, rosnącym karłowato. Mogły wyglądać na świat, kąpać się w promieniach słońca, gwarzyć z niem cichemi szeptami, a ja?

Wiele czasu tak upłynęło. Raz, czułam dziwne omdlenie. Zdawało mi się że konam. Siły mnie opuściły, miałam już ostatniem wonnem tchnieniem pożegnać świat uroczy, kiedy ręka Wacława wydostała mnie z ukrycia, i zatknęła w ramy obrazu.

Przybyło mi sił. Spojrzałam w około, promienie blade słońca odbiły się o przeciwległą ścianę. O! jakże mi było rozkosznie...

A nademną wizerunek Bogarodzicy, z lampką błyszczącą, był niby sztandarem, strzegącym życia róży.

Wacław, przyglądał się moim listkom z wyrazem miłości. Pocałował mnie i utulił.

— Droga pamiątko, jedyny mój skarbie, świeża jeszcze różo, mowił, niechaj cię strzeże dziewica Święta. Ile razy spojrzę na ciebie, silniejszym się stanę, bo ty od niéj pochodzisz. A teraz do trudów, do pracy!

Błogo mi było za ramą świętego obrazka, spoglądałam często na Wacława, jak się mozolił i pracował po dniach całych. Biedny! Po cóż się urodził człowiekiem, na troski i trudy? Kwiaty mają tylko żywot rozkoszy, a krople rosy, strojące ich sukienki barwne, nie są kroplami znoju, który nie raz zbyt wcześnie postać człowieka pochyla.

Poznałam matkę Wacława, pochyloną i sędziwą staruszkę. Włosy jej były białe, jako listki stokroci, oczy, niby uwiędłe barwinku kwiaty, a głos, jak szmer tęsknéj wierzby gwarzącéj nad grobem przeszłości.

Musiał ją Wacław bardzo kochać.

Pewnego razu, staruszka zapalając lampkę u obrazu spostrzegła mnie.

— Uwiędła róża, szepnęła, co ona tu robi? Kto ją tu wsadził?

I sięgnąwszy po mnie dłonią, chciała mnie wyrzucić za okno.

— Matko! zawołał Wacław, wstrzymaj się matko! To mój skarb.

— Skarb? jaki skarb? to uwiędły kwiatek.

— To pamiątka, szepnął błagalnie.

— Pamiątka, od kogo?

Młodzieniec pochylił usta do ręki matki, i szepnął jèj słów kilka.

— Tak? rzekła, niceś mi o tém nie mówił, a matką jestem. Ona czyliż cię kocha?

— Ta róża świadkiem.

— Świadek milczący, któż go pytać będzie?

— Bóg! rzekł młodzieniec uroczyście.

Staruszka patrzyła w jego oczy i tuliła skronie jego do piersi.

Widząc to, czułam, że listki moje świeżą okryły się barwą. Wy ludzie macie stokroć więcéj szczęścia, niżeli my kwiaty, bo macie miłość matki!

I wesoło mi było. Na domiar wszystkiego, promienie słońca padły na ścianę białą, a widząc ich blaski uczułam tęsknotę. Ta tęsknota jednak była mi rozkoszą.

Tego samego dnia przyszedł do Wacława jakiś stary jegomość, przygarbiony i łysy. Widziałam w spojrzeniu młodzieńca, że odwiedziny te nie ucieszyły go bynajmniéj. Staruszka matka krzątała się ochoczo, przysposabiając dla gościa domowe przysmaki. Jegomość łysy tymczasem rozmawiał z Wacławem żywo i głośno

— I cóż myślisz robić? pytał.

— To co i dziś, co wczoraj, odpowiedział Wacław, Pracować całą siłą, oddać wszystkie chwile mojego życia dla sztuki.

— Więc trwasz w zamiarze pozostania artystą? pytał daléj jegomość, z uśmiechem szyderczym.

— Tak, stryju.

— A chleb? jesteś ubogim, a przyszłość?

— W ręku Boga.

— W ręku Boga, powtórzył zwolna, hm! żałuję mocno, dodał powstając z siedzenia, szkoda, upór dziecinny, głupstwo.

Długo jeszcze rozmawiali, co raz żywiéj, co raz głośniéj.

W końcu jegomość nie czekając dłużej, ujął kij, stojący w kącie, mówiąc:

— Za miesiąc obaczymy się po raz ostatni, jeżeli trwać będziesz w swoim nierozsądnym zamiarze, wydziedziczę cię.

Napróżno staruszka zatrzymywała łysego jegomości, rozgniewany wyszedł, i nie wrócił bynajmniéj.

— Co to znaczy, Wacławie? pytała matka, co zaszło między stryjem a tobą? Matko moja, odrzekł całując jéj ręce, to walka z przeznaczeniem, pobłogosław mnie, ja muszę być artystą.

IV.

Wacław pracował z całym zapałem nad sztuką. Siedział przy stalugach z pędzlem w ręku od rana do zmierzchu, a późniéj, popieściwszy mnie przez chwilę, zabierał się do książek, przy boku matki.

Pewnego dnia stary, łysy jegomość zjawił się znowu.

— I coż, rzekł do Wacława, namyśliłeś się?

— Namyśliłem, była odpowiedź, pragnę zostać artystą.

Jegomość zerwał się z krzesła jak oparzony, i zawołał:

— Głupcze niedołężny, kiedyż będziesz miał rozum? Chcesz iść śladami twojego ojca, który żył jak nędzarz i umarł w nędzy? Dla czego nie chcesz być przemysłowcem jak ja, by dorobić się majątku i zostać moim spadkobiercą? Wszak wiesz, że niemam dzieci, jestem sam jeden, a bogaty i chciałbym, żebyś odziedziczył po mnie wszystko.

Wacław słuchał milcząc, a po chwili rzekł:

— Stryju mój, już się stało! Błogosławić zawsze będę prace mojego ojca i jego, jak powiadasz bezowocne trudy. Ani na chwilę nie

zboczę z drogi, którą mi naznaczył Bóg sam, i choćbym nawet miał postradać obiecywany mi przez ciebie spadek, uważam za nikczemność dążyć przeciwko wewnętrznemu głosowi.

Stryj osłupiały patrzył w oczy Wacława, a po namyśle rzekł:

— Tak więc, nie znamy się odtąd, wydziedziczam cię. Wiesz, że nie masz już prawa przypominać mi naszego pokrewieństwa. Jestem dla ciebie obcy, na zawsze obcy. Dom mój zamknięty dla ciebie, nie przychodź tam, do mnie, bo cię każę wyrzucić za drzwi i powtórzyć, że jesteś nierozważnym szaleńcem, głupcem, dziecięciem, skazującém własną matkę na łzy i mękę.

To powiedziawszy. jegomość oburzony wyszedł.

Wacław spojrzawszy na matkę, zalaną łzami i milczącą, zawahał się. Chciał biedz za stryjem.

Staruszka widząc to, zawołała nań.

— Matko moja najdroższa, rzekł całując jéj ręce z uniesieniem, powiedz matko, czy mam iść do niego, powiedzieć mu, że pójdę drogą przeciwną mojemu przeznaczeniu? O! powiedz, to dla twojego szczęścia, matko moja.

Staruszka spojrzała nań wzrokiem jasnym i rzewnym rzekła głosem:

Masz kłamać sobie i prochom ojca? Niebyłamże jego żoną, nie jesteśże moim synem? Pozostań.

— O tak! będę pracował, będziesz szczęśliwą i spokojną, matko moja, i mówiąc to Wacław, całował znowu ręce staruszki.

V.

Niestety! Jestem już starą i brzydką.

Wówczas, kiedy poraz pierwszy ta bolesna prawda, stanęła mi przed oczami, zaczęło się dla mnie inne życie, życie wspomnień.

I czasem śniłam jeszcze o promienném słońcu. Widziałam je w całym blasku południa, w całéj świetności lata. Jego światło przenikające ogarniało istotę moją, jak ogarnia świat cały, przeciskając promienie w niedostępne szczeliny przepaści. Czułam, kochałam, tęskniłam. Zdawało mi się, że jestem młodą i piękną jak dawniéj, że mi wolno kochać mojego srebrnego oblubieńca.

Wacław jak zawsze i dziś pracował z całym zapałem. Czasem szeptał.

— Wytrwałości! jest wszakże anioł na ziemi, który mnie za to nagrodzi.

Mówił o Helence.

Pewnego razu, wszedł pocztowy sługa i wręczył mu list.

Wacław spojrzał na pismo i gwałtownie rozerwawszy pieczątkę czytać począł.

Staruszka matka oparłszy się na jego ramieniu słuchała bacznie. Oto słowa listu:

„Wacławie! wola rodziców nakazuje mi kłamać własnemu sercu, zniweczyć przyszłość całą. Za dni kilkanaście naznaczono dopełnienie związku ślubnego, z człowiekiem, którym nie ty jesteś.... Cierpię wiele, ból przygnębił mię i odjął mi siłę woli, ratuj mnie Wacławie, bo grom zbyt silny obezwładnił mnie.... Co mam czynić? zmysły mi się mieszają, serce zakrwawione.... Wyznałam wszystko, szydzono ze mnie, a przed Bogiem przysięgłam twoją być tylko i dotrzymam przysięgi.“

Wacław po przeczytaniu tego listu wydawał się jakby piorunem rażony. Cisnął pierś którą wzruszenie rozsadzało. Oczy jego zabłysnęły wyrazem rozpaczy i żalu. Zgięty, milczący, cierpiał boleśnie. Po kilku chwilach zwracając się do matki, zawołał:

— Co czynić? matko moja, co mam czynić?

Staruszka spuściła zwolna głowę, a po wywiędłéj jéj twarzy stoczyły się dwie łzy.

VI.

Po długiéj walce z tysiącem zamiarów, których biedna jego głowa rozważyć nawet nie była zdolną. Wacław postanowił jechać do rodziców Helenki, błagać ich, lub ukochaną unieść na krańce świata, szukając miejsca, gdzieby nie wolno było nikomu rozdzielać dwóch serc połączonych uczuciem na wieki.

Smutne położenie! Jechać—ale 20-milowej przestrzeni niepodobna przebyć w kilku godzinach; pieszo, z kijem w ręku, a Wacław nie miał grosza w kieszeni, bo stryj przestał mu dopomagać i zostawił go bez zasobów, bez doświadczenia, z ubogą staruszką—matką.

Niepodobna więc było jechać, nie dostawszy piérwéj pieniędzy na drogę potrzebnych. Co było czynić? Wacław znał tylko biedaków takich jak on sam. Pożyczyć od kogo? Któż by mu pożyczył, niepewnym będąc odbioru.

Tak fatalny grom pierwszy raz przyprawił go o rozpacz A ona, Helenka, czekała tam i cierpiała z chwilą każdą więcéj. Wacław myślał, szukał sposobu, naprózno. Nad wieczorem rzekł do matki głosem ponurym:

— Pójdę do stryja, nie podobna żeby mi odmówił. Jest człowiekiem, ma serce, i on kochal. Pójdę.

Matka milczała.

W godzinę Wacław wrócił. Był blady i złamany.

— I cóż? zapytała staruszka.

— Nie chciał mnie przyjąć, wdarłem się do jego pokoju, przecierpiałem całą burzę słów, wytrzymałem piorunów bolesnych tysiąc i na kolanach wyznałem mu wszystko błagając o pomoc.

— A on?

— Kazał mi drzwi otworzyć i wskazał na nie.

Milczenie zaległo ubogi pokoik Wacława.

VII.

Nazajutrz był dzień posępny i wilgotny, słońce lubiące spoglądać tylko na pogodne oblicze ziemi, skryło się za chmury, a moje siostry róże, musiały tęsknić za niemi. Mnie

nie robiło to wielkiéj różnicy. Przywykłam widzieć oblubieńca mojego tylko we śnie lub w marzeniu.

Koło południa, do mieszkania Wacława przyszło kilku nieznajomych mi ludzi. Mówili ze sobą głośno i cicho, bardzo często gwarzyli z Wacławem, którego to widocznie trudziło, a w godzinę, wyliczywszy na stole jakąś summę pieniędzy, zabrali wszystkie rzeczy i wynieśli się. Oprócz stołu, kilku stołków i obrazka, za którego ramą siedziałam, nie zostało tam nic więcéj. Nawet stalugi Wacława wyniesiono.

Nad wieczorem biedny Wacław z tłumoczkiem wyszedł. Za nim postępowała staruszka, żegnając smutnie osierocone ściany. Mnie się zrobiło dziwnie tęskno, miałamże zostać sama?

Na szczęście Wacław wrócił po mnie.

Po chwili wsiedli wubogi wózek i tak wszystko troje puściliśmy się w podróż.

Czułam, że im więcéj drogi przebywaliśmy, tem serce Wacława słabiej uderzało. Niepewność i oczekiwanie mrożą oddech w piersi człowieka.

Staruszka strudzona podróżą, po dwugodzinnej jeździe, zasnęła. Wówczas Wacław wydobył mnie z pugilaresu i szeptał coś do mnie niezrozumiale.....

Jechaliśmy tak dwa dni i dwie nocy. Trzeciego dnia nad ranem, stanęliśmy nieopodal od dworu, w którym mieszkali rodzice Helenki. Wacław zsiadłszy z wózka, rozejrzał się w około i podszedłszy do matki, rzekł wzruszony:

— Myślałem, że ujrzę jéj sukienkę białą między liśćmi krzaków ogrodowych. Ona tam być musi, może śpi jeszcze lub płacze, dodał, wskazując na zabudowania.

Po chwili poszedł zwolna ku dworowi. Było cicho jeszcze w około, tylko psy, które go poznały, przybiegły doń radośnie skomląc. Wacław głaskał je, patrząc bezwiednie przed siebie. Sądzę, że w téj chwili zuchwałe jego nadzieje, jakie wymarzył dwa dni temu, wydały mu się szaleństwem. Był smutny i nieprzytomny. Długo tak stał milcząc. W półgodziny potém, kroczącego młodzieńca spotkał jakiś stary, dworski sługa. Poczciwiec ujrzawszy Wacława, poskoczył ku niemu czemprędzej i ściskając jego nogi, mówił radośnie:

— Panicz tutaj! Jakież szczęście, a tak już dawno nie widziałem panicza. Od tego czasu tyle się tu zmieniło.

— Zmieniło się? zapytał Wacław drżący.

— Tak paniczu... i mój Boże.... gdybyż panienka....

— Panienka, wyjąkał Wacław. o! powiedz mi co o niej.

Sługa spuścił głowę smutnie i milczał.

Po długim przestanku zaczął zwolna opowiadać Wacławowi, a po kilkunastu wyrazach, młodzieniec z wykrzykiem rozpaczy pobiegł w stronę przeciwną dworowi.

Niestety! słońce jego zagasło, noc ogarnęła go, był już sam, bez nadziei i marzeń

Matka widząc biegnącego syna, pośpieszyła za nim Domyślała się boleści dziecięcia i chciała ją ukoić. Krocząc spiesznie śladami Wacława, staruszka ginęła w domysłach o przyczynie, dla któréj biegł zdala od zabudowań. Przyczyny nie znalazła.

VIII.

Matka zeszła się z synem na cmentarzu. Biedny młodzieniec, w rozpaczliwem uniesieniu klęczał na świeżej mogile.

Domyślacie się zapewne, że Helenka nie mogąc wyrzec świętokradzkiej przysięgi, pozostała wierną Wacławowi; kochająca dziewica przed wyszeptaniem słów, kłamiących Bogu, u którego ołtarza klęczała, pochyliła się na stopnie kamienne, by nie powstać więcéj. Była podobna wówczas do podciętej lilji, więdnącéj w uściskach skonania. Serce jéj pękło jak śpiż dzwonu, z którego zbyt silne uderzenie najgłośniejszy lecz zarazem ostatni jęk wywołało.

Staruszka przeraziła się stanem, w jakim obaczyła swojego syna. Niemy, złamany nadmiarem boleści, klęczał on nad świeżym grobem, wpatrując się weń wzrokiem przeszywającym.

— Dziecko moje, co to znaczy? szeptała po chwili.

Wacław milczał obezwładniony, lękał się wieści. która z ust jego wyjść miała. Tak po straszliwém uderzeniu pioruna, kiedy urwany huk echem dwoi się o góry i doliny, cisza zalega na około. Serce ludzkie w pewnych razach, na podobieństwo majestatycznéj przyrody, woła przerażającym dzwiękiem bólu, lub milczy, jak otchłanie przepaści, które przedtém gwałtownie wyszczerbiła ręka przeznaczenia.

Wacław był w téj chwili niby dąb strzaskany gromem burzy. Jak konary drzewa stuletniego, spadają z głuchym łoskotem na ziemię, chociaż są przeznaczone królować w przestworzu otwartém, tak jego nadzieje, jego szczęście marzone. jego życie zapadło w głąb ciemną do grobu jasnéj dziewicy.

— Dziecię moje, jęknęła staruszka, co to znaczy?

Wacław podniósł głowę z boleścią i w walce niemėj, głosem przerażającym odpowiedział:

— Ona umarła.

Po tych słowach milczał znowu, ale tém milczeniem, które przeszywa serce, miesza zmysły.

Wówczas matka zbliżyła się doń i rzekła:

— Synu mój, ofiara wypełniona, powstań, twoja boleść niegodna ciebie. Spojrz w przeszłość twoją i powiedz, czyli jéj nie kłamiesz?

Wacław chwytając pierwéj słowa matki bezwiednie, po niejakim czasie podniósł głowę i z lekkim cieniem zadziwienia, zapytał:

— Co to znaczy?

— Wybrałeś drogę cierni i boleści, rzuciłeś się w świat, za progi którego nie przeszedł nikt, bez krwawej daniny własnego ducha. Sądzi z więc, że wolno sięgać dłonią świętokradzską po skarby boże, nie dając nic w zamian? Dziecię moje, ta boleść twoja, to chrzest na drogę świętego powołania. Żyć tobie i cierpieć, a bez tego niema chwil natchnienia, niebieskiego uroku zasługi.

Wacław wsłuchał się w słowa matki całą duszą.

— Spojrz na świeżą mogiłę, mówiła daléj, tam, w jéj głębi leży dziewica, któréj serce pękło z boleści, bo wyrwano jéj ciebie, jasnego, promiennego wysokim celem, wytrwałego na drodze trudów, mężnego na troski i bóle powołania. I jakim teraz stajesz u jéj mogiły? Rozpacz złamała cię i nie jesteś już tém, czém miałeś być dla dziewicy, którą Bóg przeznaczył na anioła stróża tobie, w twoich zapasach, w twoich szamotaniach się na drodze kapłaństwa sztuki. Synu mój, powstań i bądź mężnym; tylko przez wielkie boleści wielkich dochodzi się celów.

Wacław po chwili milczenia powstał. Był spokojniejszy, na jego twarzy przebijał wyraz jakiegoś promiennego zachwytu. Rozejrzał się w około, oprzytomniał, łzy stoczyły się po jego licu, a późniéj rzucając się do nóg staruszki, zawołał w uniesieniu:

— Ty jesteś moim skarbem, moim rozumem, mojem sercem i sumieniem.

— Matką jestem twoją, odrzekła staruszka uroczyście.

Po chwili Wacław pieścił mnie, jedyną, ostatnią pamiątkę po ukochanéj.

Słońce wzbiło się już wysoko, świeciło tak cudnie. Spojrzałam na około, było pięknie i radośnie, spojrzałam po sobie i dreszcz mnie ujął. Mój Boże, mój ukochany mógł mnie ujrzeć jeszcze a byłam starą, brzydką i pomarszczoną. O! gdybyście pojąć mogli, com czuła wówczas.

Zwolna puściłam się z powiewem wiatru i spadłam na grób świeży kryjąc się między liście i trawy.

Wacław szukał mnie i nie znalazł. Żałowałam go, bo cierpiał nad utratą pamiątki, ale miałamże się pokazać jasnemu słońcu?

IX.

Po niejakim czasie wiatr uniósł mnie z grobu i o! radości, przywiał do macierzystego krzaku. Witałam moje młode, moje piękne siostry, które mnie nie poznały. Jak mi tam było szczęśliwie i błogo!

Patrzyłam znowu na znajome mi kwiaty, na kawałek nieba, pod którem wzrosłam, na bielejący dwór rodziców Helenki.

Było tam smutno i cicho. Tak cios, który wymierzymy w serca innych, zwraca się często ku nam.

I tak ciągle trzymając się całą siłą rodzinnéj łodygi, zżółkła i w proch starta do stóp jéj przyległam.

Między ludźmi dłużéj brzmiało Wacława imię. On był wielkim artystą. Anioł stróż jego, wedle słów staruszki—matki, wybłagał dlań niejedną chwilę zachwytu, którego źródło spoczywało w smętnéj mogile dziewicy.

Florjan.

ZARZUT CZYNIONY PISMOM PERJODYCZNYM.

W jednym z numerów Przeglądu Tygodniowego, najsłuszniejszy zrobiono wyrzut prasie perjodycznej, że niedosyć jedne jej organa wspierają drugie, w podniesieniu kwestji na dobie będących. Tak jest w istocie, odezwie się tu lub owdzie głos pojedynczy słowami zapału lub zdrowego rozsądku, napróżno zkąd inąd wygląda potwierdzenia lub zaprzeczenia, napróżno wzywa do dyskusji, któréj owocem ma być światło i prawda, wszyscy milczą a ten jeden krzątający się śmiałek, wygląda na przedwczesnego biesiadnika, który spełnia toast do zaspanych jeszcze i ziewających towarzyszy.

Przy takim braku poparcia najgorliwszemu, najbardziéj wierzącemu opadają ręce, chwieje się niepewny, jak wódz, który poskoczywszy ku nieprzyjacielowi, obejrzał się i spostrzegł, że jest sam jeden. W takim to stanie umysłów podtrzymuje się przesąd i ciemnota, w takiej atmosferze wychowują się ludzie, którzy rzeczy do gruntu spróchniałe, ba! nawet strupieszałością swoją szkodliwe, obchodzą z niedołężną ostrożnością, mówiąc: niech stoi kiedy stało.

Jedyna kwestja, która już niezaprzeczenie należy, do tak zwanych, *palących*, kwestja oświecenia i chleba kobiety, była podejmowana przez wszystkie prawie u nas pisma, ale i to, że tak powiem, na wyrywki. Odezwał się ten i ów i zamilkł, po niejakim czasie w innym organie prasy znów coś przebąknięto i znów zaległa cisza, a od lat kilkunastu jak się żywiej agituje ta sprawa, nie ma śladu żeby ją prasa perjodyczna na drodze poważnéj i sumiennej dyskursji przeprowadzić usiłowała, ztąd też pochodzi, żeśmy nic dotąd w téj mie-

rze nie zrobili, i że nas inne kraje prześcignęły pod względem instytucji i źródeł zarobku dla kobiety.

Tak się robi z każdą kwestją ogólnego pożytku, i zarzut, że nam powszechne dobro nie dość leży na sercu, najsłuszniej nam uczynionym być może. Zarzut ciężki jak klątwa, na który przecież nikt z nas osobiście zasłużyć nie pragnie. Oto teraz w Tygodniku illustrowanym p. Ant. Wieniawski poruszył przedmiot wielkiej wagi, potrzebę podania sposobności do pracy ludziom, chcącym się jej sumiennie poświęcić; woła o spółkę, której interes moralny społeczeństwa byłby najgłówniejszą dźwignią. Względy też moralne stałyby się najważniejszemi warunkami jéj kodeksu. Z jednej strony chęć przyjścia w pomoc wyszukaniem pracy, z drugiej usiłowanie wykonania jéj sumiennie. Rzecz jasna, że o wielkie kapitały, których brakiem wymawiać się gotów nie jeden, wcale tu nie chodzi. Kapitałem głównym dobra wola. Niech więc kto z ludzi zacnych, z ludzi wpływowych (jak słusznie wyraża się pan A. W.) zamożnych kupców, właścicieli wielkich zakładów przemysłowych, stara się przedewszystkiem uzyskać pozwolenie Władzy, a już przez to samo zrobi początek, który szybkiego rozwoju hasłem się stanie. Ważna rzecz jest dać inicjatywę, a nie mniej ważne jest tu dziennikarstwa zadanie, które wołając, przypominając, stawiając ciągle dobre skutki dzieła przed oczy publiczności, wielce do jego rozległego, a dobroczynnego zakresu przyczynić się może.

J. Dobieszewska (Smigielska).

KWESTJA MACHIN DO SZYCIA.

Jakkolwiek nowożytna cywilizacja rozpędzona na skrzydłach pary, zrządziła niezmierny przewrót w pojęciach na korzyść rozszerzenia zakresu kobiecéj pracy i ekonomicznego takowej użytkowania, to jednakże igła, to odwieczne acz tak skromne narzędzie rąk niewieścich, pozostała po dawnemu i długo zapewne jeszcze zostanie, ogromną dźwignią, na której końcu spoczywa byt i los tysiąca robotnic. I być inaczéj nie może, dopóki bowiem kobieta pozostanie kobietą (a zostać nią musi i powinna zawsze) dopóki jéj organizacja zatrzymywać będzie delikatność a ztąd i słabość sił fizycznych, dopóty dom i wszystkie posługi u ogniska rodzinnego, ciężyć będą na niewieście. A w domu żadna praca nie obejdzie się niemal bez igły, która jakkolwiek jest tylko maleńkiem kawałkiem żelaza, dzięki wytrwałości władnącéj nią dłoni, w swoim zakresie stwarza podobne cuda, co potężne machiny w rękach inżyniera lub dowcipne narzędzia kierowane praktycznym zmysłem pracowitego rzemieślnika. Słusznie ktoś zauważył, że jeżeli wszystkie machiny, zaczynając od prostego drąga, skutkiem postępów mechaniki, zostały ulepszone, to igła długie lat tysiące zatrzymywała tenże sam kształt, przez pierwotnego wynalazcę nadany. Umiano uczynić jéj wyrób doskonałym i tanim, umiano doprowadzić ją do ledwo widzialnéj cienkości, ale w jéj kształcie i zastosowaniu, przez długie wieki żadnego nie uczyniono postępu.

Dopiero w ostatnich czasach, dziewicza Ameryka, uczyniła krok który swą szybkością, śmiałością, potęgą i szczęśliwem powodzeniem, nagrodził długie lata oczekiwania. Mówimy tu, rozumie się, o machinach do szycia, dziś sporządzanych w takiéj rozmaitości systemów i upowszechniających się coraz bardziej.

Nie będziemy jednak kreślili, zresztą dość powszechnie znanéj, historji machin do szycia i tragicznych losów poświęcających się temu przedmiotowi wynalazców. Również nie będziemy się zajmować opisem różnych odcieni machin i specjalnego działania takowych. Praca w tym ostatnim względzie, jakkolwiek niewątpliwie byłaby konieczną i ważną, wykonaną być jednak może dopiero na jakiej wielkiej wystawie rękodzielniczej, gdzie machiny różnych systematów, porównawczym próbom poddane zostaną. Wszystkiem tem jednak na teraz zajmować się nie będziemy, zwracając raczéj uwagę na ekonomiczne i moralne skutki wprowadzenia machin do szycia i to u nas, bo swojskość i zbadanie własnego interesu, stać winno na pierwszym planie.

Otóż więc kwestja stawia się tak: czy machiny do szycia przynoszą korzyść kobietom naszym?

Kiedy pierwsza myśl ulepszonych przyrządów do szycia, w całéj pełni i jasno sformułowaną została, a następnie po wynalezieniu machin i przy ich wprowadzeniu,— wszędzie wypowiadano przekonanie, iż to ulepszenie igły, stanie się nową erą w pracy kobiecej. Spodziewano się tedy ogromnych rezultatów ekonomicznych, szczególniéj w domowem urządzeniu igiełkowego gospodarstwa niewieściego. Rozumowano, że jeżeli kobieta dziś poświęca tyle czasu nad mozolnem ślęczeniem nad igłą, to ulga w tym względzie, ulga skracająca czas do połowy niemal, musi jak najlepsze wywrzeć skutki. Tak samo zapowiadano świetne rezultata, wyniknąć mające z zasto-

sowania machin do pracy robotnic, igłą na chleb codzienny zarabiających.

Ku wielkiemu jednakże zdziwieniu wszystkich, którzy nawet nie wiedząc, byli często narzędziami w rękach fabrykantów i kupców machin, popierającemi interesa takowych, zapowiadane skutki ekonomiczne wcale się nie ziściły.

Nadmieniamy tylko, iż nie mówimy o zastosowaniu machin podobnych do przemysłu, tak w Ameryce jak i w wielkich krajach Europy, ale o użyciu tychże w gospodarstwie domowém jako narzędzia do obszycia rodziny i domowników, tudzież w zastosowaniu do pojedynczych szwaczek warszawskich. Nic bowiem dziwnego, że machiny do szycia, najświetniejsze mogły wydać rezultaty w Ameryce północnéj, lub w Londynie i Paryżu, gdzie massa roboty mającéj być uszytą, o wiele przewyższa, przynajmniéj w pewnych chwilach, ilość rąk temu zawodowi poświęcić się mogących. Powiemy nawet, iż wszędzie gdzie przemysł produkuje w widokach handlu, gdzie się wspiera na kapitale, podobnie jak i wszystkie wielkie przemysła odnosi korzyści z użycia machin, a zatem i machin do szycia. Inna jednakże jest rzecz, jeżeli weźniemy pod uwagę zastosowanie machiny do obszycia w familijnem gospodarstwie, lub też do pracy pojedynczéj szwaczki. W tym razie przedstawiają się dwie niekorzyści tych mechanicznych przyrządów. 1mo koszt machiny wiążący znaczną część kapitałów. Zdaje się to nic, biorąc każdą machinę pojedynczo, ale gdybyśmy ich użycie rozprzestrzenić chcieli do ogółu, wypadłyby niezmierne summy. Przypuściwszy ludność królestwa na 5 milionów, a skład każdéj familji na pięć osób, to wypadłoby mieć milion machin chcąc potrzebie każdéj familji zadość uczynić. Licząc średnio każdą machinę po 30 rs. otrzymamy trzydzieści milionów rubli srebrem kapitału. Rachując tylko trzecią część téj summy to i tak będzie cyfra kolosalna. A czy w zamian wydania tych kapitałów, gospodarstwo kobiece odpowiednie otrzyma korzyści? Wątpimy. Tylko przy bardzo licznéj rodzinie i rozwiniętem gospodarstwie domowem lub wiejskiem, pani domu i żona, nie może zadość uczynić naprawom sukien i reparacji bielizny oraz sporządzenia takowych. A wtedy machina zręcznie kierowana, może być pożyteczną. Powszechnie jednak, potrzeby domu są o wiele niższe od możności wykonania ręką, a cóż mówić o machinie... Gracik ten więc jeżeli wytworny, zawala przez większą część roku jaki kąt saloniku, lub pracowni kobiecéj, jak to widzimy w tych domach, które się przy pierwszéj gorączce machinowéj w takowe narządy zaopatrzyły. Niemożna także zataić, iż machiny nawet nejlepiéj udoskonalone, nie szyją tak mocno jak szycie ręczne, ani też nie są zdolne do wszelkich posług np. przy reparacji, do których prosta igła sposobną jest zwykle. A zatem w wieln domach machina stoi w kącie, a prosta igła zawszs jest w robocie.

2do Machinu do szycia zjawia się jako groźny współzawodnik pracy ręcznéj i zniża i tak wcale nie wysokie zarobki szwaczek. Powtarzamy, iż tam gdzie dużo roboty a rąk mało, oraz w wielkim przemyśle, machiny wydają cudowny rezultat, ale w rękodzielnictwie, zawsze przyczyniają się do ograniczenia, do poniżenia wyrobu i zmniejszenia zarobków. Pod tym względem machiny do szycia dzielą los wszystkich udoskonalonych machin, do których niechęć drobnych rzemieślników, niestety! wyznać musimy, jest słuszną i usprawiedliwioną. Postawmy się teraz w miejscu naszych warszawskich szwaczek. Ilość roboty ich jest ograniczona, bo nasz rynek sprzedażny bardzo ograniczony i ścieśniouy kunkurencją taniéj, choć na fuszerkę produkowanej, bielizny zagranicznéj. Ażeby się o tem przekonać, dość zajrzyć do naszych szwaczek i zakładów szycia. Weźmy najznajomszy, śtéj Mart y, który niegdyś był prawdziwym przytułkiem zacnych, choć ubogich dziewcząt, i żywił około dwustu takowych, d ziś zaś zatrudnia czwartą a nawet i piątą część niespełna. Kobiety szyjące u krawców, tylko dwa razy do roku mają robotę: na wiosnę i jesień; a przez resztę miesięcy mrą z głodu i nędzy. Otóż w takim stanie,nie trudno pojąć, iż konkurencja machin jest niezmiernie znaczącą. Ta ilość roboty, która jest żądaną, w znacznej części przypada pracownicom zaopatrzonym w machiny, bo licząc na sztukę, są one w stanie, taniéj takową robotę wykończyć. Rozumie się, iż szwaczki zaopatrzone w machiny (to jest posiadające na ich sprawienie kapitał a zatem zamożniejsze) zarabiają stosunkowo więcéj, bo w dzień jeden uprodukować mogą ilość znaczniejszą. Ale o ile owe pojedyncze, na machinach produkujące szwaczki więcéj i taniéj robią z własną korzyścią, o tyle traci ogół szwaczek nieposiadających machin. Brakuje więc im pracy i cena ich roboty upada. Powiększa się ztąd nędza, a za nędzą idzie upadek moralności, ten najczulszy odzyw każdego nienormalnego położenia kobiety:

W tym ostatnim kierunku, oprócz pośredniego wpływu ekonomicznego, zrobiono spostrzeżenie, iż machiny wywierają fatalny, bezpośredni skutek na zdrowie i moralność szwaczek.

Zauważono, iż machiny do szycia wymagają zgięcia ciała, szkodliwie oddziaływającego na żołądek i inne organa trawienia. Ciągła konieczność bezustannego patrzenia, niszczy niezmiernie szybko wzrok. Lecz najszkodliwszem w téj robocie, jest poruszanie nogą, mianowicie w machinach amerykańskiego systematu, o dwóch pedałach, przy działaniu których położenie bioder zmienia się nieustannie, tak że jedno się wznosi gdy drugie opada i na odwrót. Doktor Guibout obserwujący tego rodzaju skutki, odczytywał niedawno bardzo interesujące szczegóły na posiedzeniu Towarzystwa le-

karskiego (1). Wykazywał on wpływ tych machin na rozwinięcie tak zwykłej u młodych szwaczek bladaczki, które przy machinach dwupedałowych, dochodzi do krańców choroby. Naturalnie ma to wielki wpływ na moralność, jak tego niepotrzebujemy długo dowodzić. Rozumie się, ten szkodliwy wpływ machin usuniętym w części zostanie, skoro fabrykanci będą mieli zwróconą uwagę i mechanizm przyrządów pod tym względem poprawie ulegnie. Skutki jednak użycia machin ekonomiczne, dla nas pozostaną na długo też same, któreśmy wyżéj wskazali.

W obec więc nich należałoby:

1mo Wyłączyć zastósowanie machin z domowego użycia, z wyjątkiem chyba gdzie matka liczną familię musi obszywać .(2).

2do Pojedynczym szwaczkom albo w zupełności niebrać się do szycia machinowego i nabywania machin, albo też zaopatrzyć się wszystkie w machiny (za ułatwieniem przez kredyta nabycie takowych).

3o Użycie machin ograniczyć do fabryk na wielką skalę, wyrabiających bieliznę w celach handlowych, którą możnaby także wywozić na wschód i w mniéj przemysłowe, biedniejsze okolice. *Adam Wiślicki.*

(1) Dr. *Guibout* na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego szpitali w Paryżu d. 9 Maja r. b. czytał zajmującą rozprawę p. t. *O wpływie machin do szycia na zdrowie i moralność robotnic.* W rozprawie swéj, opartéj na kilkudziesięciu obserwacjach, wykazał że robotnice w wielkich zakładach paryzkich zmuszone po godziu 12 przeszło siedzieć schylone nad machiną do szycia, podlegają różnym przypadłościom rozdrażnienia systematu nerwowego, upartym katarom wszystkich błon szluzowych, pluciu krwią, zawrotom i bólom głowy, ogólnemu osłabieniu i upartym kaszlom. Nie wszystkie jednym i tym samym podlegały cierpieniom, to jednak zauważył, że wszystkie wchodzące do zakładu w najbardziej kwitnącym stanie zdrowia, po kilku miesiącach opuścić musiały zakład, stargawszy siły i zdrowie. Ubytek ten dopełniono nowemi robotnicami i te także podległy temu samemu losowi. (L'Union médicalę 1866). Przyp. Red.

(2) Zamożniejsze kobiety mogą mieć machinę dla rozrywki, jak niegdyś kołowrotek, za pomocą bowiem machin, wykonywają się łatwym i spiesznym sposobem wszystkie garnirowania, obszycia, pikowania i t. p. (Przyp. red.)

MUZYKA.

Muzyka płynie z nieba, od Boga z wysoka!
Za czasów Izajasza wielkiego proroka,
Słyszał ten wielki święty, od Boga natchnięty,
Z końca do końca niebios ten hymn: Święty, [Święty!
Święty jest Pan zastępów, pełne są niebiosa
Chwały Jego! o bracia! muzyka jak rosa,
Jak promienie słoneczne ponad światem płynie,
Niebo, ziemia przeminą, ona nie przeminie!

Gdy się już czas wypełnił, w Betleem widziano
Światło płynące z niebios na żłobek i siano,
Anioł śpiewał w jasności że się Bóg narodził,
A za nim chór aniołów z tym głosem się zgodził,
I śpiewali o chwale Boga z wysokości,
A pastuszki na dole słuchali w cichości,
Chór znów: Pokój na ziemi ludziom dobréj woli!
A pastuszki klękają śród trzody powoli,
Składają ręce swoje w pokorze, w zachwycie,
Czując, że na nich spływa zbawienie i życie!

Święte słowa zostały, lecz dla czegóż z niemi
Hymnu nuta nie zeszła na pociechę ziemi?
Byłby to zdrój melodji, natchnienia, miłości,
Czerpany, niezgłębiony do nieskończoności!
Probujcie ludzie śpiewać bez Boga pomocy,
On wlał w ludzką pierś tyle słodyczy i mocy,
Że słuchając tych pieśni niedowiarki muszą
Uwierzyć, że śpiewają nieśmiertelną duszą!
Stwórca martwemu kruszcu i kawałkom drzewa
Nadał giętkości dźwięczność że i drzewo śpiewa,
Struna, kość, kiedy wola wyższa niemi wzruszy,
Słuchają dzielnej ręki, ręka słucha duszy....
A dusza oderwana od ciała, od ziemi,
Słucha pieśni aniołów, śpiewa razem z niemi!

Probujcie! gdyby Stwórca ludzie waszéj ręki
Nie utoczył tak zręcznie, że przecudne dźwięki
Dobywa za dotknięciem struny albo kości,
Budząc tony co wzajem budzą do miłości,
Do natchnień, któżby został muzykiem bez Boga?
Zkądże słuchając burzy powstaje w nas trwoga?
To Bóg mówi w jéj gromach! Oceanu fale,
Lasów echa, szum kaskad, wiatru tęskne żale,
To chór całéj przyrody ku niebu się wznosi,
To przyroda się modli, dziękuje i prosi!
Kto umie tego słuchać, ten duszę nastroi
Do niebieskich melodji... ach! ten do podwoi
Niebieskich już się zbliżył i stanął u progu,
Ludzie! ludzie muzyka prowadzi ku Bogu!
Jak mgła co z morza wyszła, słońcem się ozłaca,
I znów do swego źródła, do morza powraca.

O tak! z melodji czerpmy jak z pełnego zdroju,
Z niéj płyną łaski wiary, miłości, pokoju,
Przed nią zły duch ucieka, a bóle się koją....
Praca nabiera wdzięku, a myśli się roją,
Młodzież dla swoich uciech znajduje w niej miarę
Gdy modlitwie wtóruje, podnosi w nas wiarę,
Duch człowieka więziony wybiega z swéj cieśni,
Rośnie i bieży w szranki gdy usłyszy pieśni,
Już gotowy do ofiar... z więzów wyswabadza;
Hymn od ziemi go uniósł a w niebo wprowadza;
Bo on jest rodem z nieba, znana mu ta droga,
O! tak bracia, muzyka prowadzi do Boga.

. . . .

Bo wiara, bo religja w melodję się zlewa,
Od Boga płyną łaski, człowiek się spodziewa,
Wierzy, kocha, pracuje, on wdzięczny, Bóg hojny
Kiedy człowiek połową swego ducha w niebie,
Kocha Boga nad wszystko, bliźniego jak siebie,
Słuchajcie jaki akord tworzy się potrójny....
Szczęśliwi w których sercu melodja przebywa,
Bo od Boga przybyła i do Niego wzywa!

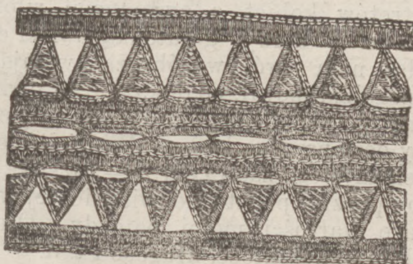
Gabrjela Puzynina.

Dodatek do Zeszytu XIX Kółka Domowego.

Wstawka szydełkowa.

Zrób łańcuszek długi jak chcesz; 1 *rzęd*: na wszystkich oczkach cały rząd słupków.

2 *rzęd*: 7 oczek nadpowietrznych łańcuszkowych, na nich 2 oczka matowe, 4 słupki, opuść 2 oczka na poprzedzającym rzędzie i przyczep, powtarzaj to przez całą długość roboty.



3 *rzęd*: przyczep nitkę do spiczastego końca, zrób 2 oczka łańcuszkowe nadpowietrzne i znów przyczep drugi spiczasty koniec.

4 *rzęd*: jak pierwszy, odwróć robotę bo zaczniesz na pierwszym łańcuszku.

5 *rzęd*: zrób oczek nadpowietrznych 5, opuść 5 poprzedzającego rzędu, przyczep znów 5 nadpowietrznych i tak daléj przez całą długość.

6 *rzęd* jak 1szy, *rzęd* 7 jak 3ci, *rzęd* 8 jak 4.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Przód paletocika dla czteroletniego dziecka.
Nr. 2. Plecy.
Nr. 3. Rękawek.
Nr. 4. Pelerynka z czarnego tiulu przystrojona aksamitką i koronką.
Nr. 5. Przód pelerynki z oznaczeniem wystroju z aksamitki.
Nr. 6. Plecy.
Nr. 7. Epolet oszyty koronką z dwoma spuszczonemi końcami z aksamitki czarnéj.
Nr. 8—9. Kołnierzyk i rękawki: haft atłaskiem.
Nr. 10. Brzeg do codziennéj chustki od nosa.
Nr. 11—18. Tarcze, cyfry i korona.
Nr. 19—30. Wstawki, ząbki i szlaki do koszul dziennych i nocnych.
Nr. 31. Rzucik.
Nr. 32. Przód kaftanika korcikowego, wyszycie kordonkiem odmiennego koloru ściegiem płaskim dzierganym.
Nr. 33. Boczek.
Nr. 38. Plecy.
Nr. 35. Rękaw.
Nr. 36—37. Kołnierzyk i rękawki, medaliony Cluny, wstawki muślinowe atłaskiem haftowane, oszycie koronką.
Nr. 38—39. Figura rękawków i kołnierzyka.
Nr. 40—41. Kołnierzyk i rękawki ze wstaweczek koronkowych i muślinowych.
Nr. 42—43. Figura kołnierzyka i rękawków.
Nr. 44—50. Cyfry w połączeniu.
Nr. 51—55. Wstawki i szlaki do różnego użytku.
Nr. 56. Falbana fałdowana do halki, obszyta i przystrojona dwoma rzędami taśmy wełnianéj odmiennego koloru. Taśma ta, jak widzimy na rysunku, przewiązuje się w węzeł, w pewnych odstępach.

O UBIORACH.

Moda zakręcania włosów na tyle głowy, w ślimak, wraca znowu teraz, i takie *ślimakowe* koki kupują się w zakładach fryzjerskich, tak nikt już o własnych warkoczach zrosłych na głowie, która je nosi, nie myśli. Co najwięcéj przypuszczają, że się znajdują włosy długie, ale zaraz wnosząc, że z nich warkocz cienki, przygotowują stosowne dodatki i podkłady. Pokazuje się tedy, że włosy, coraz rzadziej wyrastają na niewieścich głowach, mimo że, a może też właśnie dla tego, że liczni przemysłowcy, coraz to liczniejsze wyrabiają preparata, na piękność, wzrost i utrzymanie tychże i

nasze elegantki drogo je przypłacają w Paryżu. Wiadomo zaś jak francuzi zręcznie swój towar polecić umieją. Pani X. bywająca często w Paryżu, prosiła nas, aby jéj kupić sześć słoików u Hessa, sławnej pomady na rośnięcie włosów. Przybyliśmy według wskazanego adresu na ulicę *Neuves des petits champs*, wprowadzono nas do ślicznego salonu, gdzie wisiało kilka portretów kobiet z ogromnemi włosami. Nareszcie wychodzi sam pan Hess i o! dziwy, goluteńką świeci czaszką. Z wykwintną uprzejmością, podał nam swój wyrób, zachwalając jego osobliwe przymioty. „Rzecz szczególna, mówił, co dokazuje ta pomada, od niej rosną włosy, nawet tam, gdzie jej nigdy nie było.“ To usłyszawszy, mimowolnie prawie zwróciłyśmy oczy na jego łysinę. „Widzieliście państwo panią Hess, pytał. —„Nie mieliśmy tego zaszczytu“. —„Szkoda niepowetowana, ale ja ją poproszę, żeby poszła państwa odwiedzić, jéj włosy bowiem podziwienia godne, dają miarę wartości mojej pomady. Oto jej portret, patrzcie na to bogactwo pukli, jaka obfitość, długość i t. d.“ Wyszliśmy zachwyceni nie pomadą, a francuzką zręcznością; zachwyt ten naturalnie mieszał się z tym odcieniem pogardy, jaką zwykle budzi szarlatanizm. Dowiedzieliśmy się później, że pan Hess nigdy żony nie miał, tylko zaczynając fabrykować *niezawodną* pomadę, wybrał się w podróż po całéj Francji, dla wyszukania sobie żyjącego szyldu i znalazłszy w jednem z miast południowych dziewczynę odpowiadającą jego celom, namówił ją, (Bóg wie tylko jakiemi sposobami) do opuszczenia rodziny, wystroił, zamieszkał wraz z nią w Paryżu, polecając jéj być przy sprzedaży przytomną, aby interesanci mogli podziwiać jéj rzeczywiście niepospolite włosy, które gdy rozpuści, może podobno nastąpić nogą. Wracając się do koków, dodamy, że na przyszły numer pomieścimy kilka rysunków takich, jakie pan Koch wyrabia w swoim zakładzie.

Jakkolwiek jest teraz gorąco, jak w Lipcu nie było, już do magazynów naszych przybywają zapasy okryć jesiennych i cieplejszych materjałów na suknie. U p. Pękali oglądaliśmy prześliczne, ale drogie tkaniny; tańsze jeszcze nie nadeszły. Są to materje po większéj części przerabiane z jedwabiem i dla tego połyskliwe jak np. tak zwane *złote sukno* (drap d'or), gdzie z kolorową nitką miesza się jedwab żółty, sprawiający połysk złocisty Jest dużo materjałów w pasy z szerokiemi odstępami, są pstre niezmiernie mięsiste na suknie zimowe, ale cóż!.. ich cena półtora rubla łokieć przechodzi.

Paletoty po większéj części pół wcięte. Zwyczajniejsze są w cenie od 20 do 25 rubli, ale wszystkie z wykwintnego materjału, lub z oryginalném wystrojeniem do 40 rubli w cenie dochodzą. Tyleż żądano za paletocik polonezkę ze ślicznego materjału, zwanego aksamitem wełnianym, obszyty czarnym barankiem; do czego dodany był malutki zarękawek (mufek) z tegoż materjału i z takiemże obszyciem, jako eleganckie dopełnienie jesiennego ubrania. Nie potrzebujemy dodawać, że ten zarękawek już nie byłby stosowny do salopy z futrem. Nie tańszy był paletot równie ciepły z obszyciem z angory, z rękawami szerokiemi, jakie znów teraz do użycia wracają. Były także piękne burnusy, z otworami na ręce, ujętemi w krótkie rękawki i mantyla aksamitna oryginalnego kształtu, gdyż przypominała kaftan krótki z daleko dłuższemi rękawami, bardzo otwartemi i zakończonemi w ząb. Krój ten nazwano *Tudor*.

Rozpuszczona wieść, że krynoliny zarzucono, jest fałszywą, dosyć jest spojrzyć na krój dzisiejszych sukien aby temu nie wierzyć. Zeszłego miesiąca w Dieppe pewna pani odrzuciwszy krynolinę, pokazała się na publicznej przechadzce w uniesionej w draperjach sukni. Przyjęto ją śmiechem ogólnym; nawet najzaciętsi dawniej przeciwnicy krynoliny szydzili, do tego stopnia już nawykło oko do jej kształtów nienaturalnych. Wprawdzie suknie robią się bez fałdów na biodrach, ale te u dołu w wachlarz się rozchodzą. Tyle

już tylko zyskanego, że są znacznie węższe, co przy dzisiejszem podrożeniu towarów dobrze wypadło, choć znowu krajanie w kliny wiele materjału marnuje. Oprócz sukien podniesionych w festony, zaczynają robić suknie zupełnie za krótkie dla osoby która je nosi, tylko dosztukowane, że tak powiemy, spódnicą. Takie suknie bywają zwykle wycinane w zęby. Spódnice robią się albo z tego samego materjału, albo gustownie kolorem zastosowane. I tak: oglądałyśmy ubranie złożone ze spódnicy niebieskiej, z fałdowaną falbaną, na której była suknia krótka z białéj alpagi w niebieskie, wązkie paski, kaftaniczek zaś był cały biały, a słomiany, marynarski kapelusik, niebieską opasany aksamitką. Inna suknia srebrzysto popielata, powłóczysta, miała wokoło szerszą niż ćwierć łokcia, z zaprasowanemi fałdami, falbanę, przyszytą u samego brzegu dolnego. Nad tą falbaną były w odstępach pukielki z czarnéj, z białemi brzeżkami aksamitki. Takaż sama aksamitka pokrywała wszystkie szwy od góry do dołu i kaftanik peplum, to jest roztwarty w zęby po bokach. Suknia ta z tyłu nawet, ani jednego nie miała fałdu.

Kapelusze obiecują nam na zimę większe, a przynajmniej z główkami, co już jest ważną rzeczą, że choć tył głowy będzie cokolwiek osłonionym. Opowiadają także o beretach z białego sukna z kolorowemi wyłogami, jakie już u kąpieli morskich w małéj liczbie się pojawiły.

Zakładanie i pielęgnowanie ogrodów owocowych.

(Dokończenie).

Najpierwszem staraniem jest ochędóstwo; ziemię nad korzeniami przynajmniej dwa razy na rok spulchniać, to jest na wiosnę i w jesieni i nie dopuszczać, ażeby rosła trawa; jako téż zbierać gumy, ocierać mech i chropowatość kory; zrzucać wcześnie zawiązki i gniazda owadów i t. d. kilka razy do roku podczas suszy, osobliwie po okwitnieniu w Maju, należy polewać drzewa wodą, a jeżeli nędznie rosną, można używać podlania krowieńcem, w wodzie rozrzedzonym, który pierwej w kadzi na słońcu przez tydzień wystać się powinien: jeżeli się ujrzy coś skaleczonego na skórce, drzewie, lub korzeniu nie zaniedbywać, ale natychmiast ranę nożem gładko odświeżyć i maścią zasmarować.

Każdemu mniej więcéj wiadomo, że drzewka sadzić się powinny takie które już w szkółce uformowały niejako koronkę; po zasadzeniu jednak, potrzeba zerznąć tryby, na trzy lub cztery oczka zostawiając, ażeby z tych wyszły gałęzie mające składać koronę czyli głowę drzewa. Pierwszego roku trzeba dozwolić rość wszystkim gałązkom, które z oczek pozostawionych wyrosną, lecz wszystkie niżéj wyrastające, jako téż z korzeni, powinny być zniszczone, gdyż te bezkorzystnie trawiłyby soki.

Z silnych gałązek wyrosłych pierwszego roku, zostawić następującego tylko trzy główne, te zwłaszcza, które są ułożone w trójkąt między sobą i jeżeli one są mocne, można uciąć o pięć lub sześć ok, jeżeli zaś są słabe obciąć tylko na dwa oczka, aby wydały wyrostki silne. Wiele osób stara się mieć owoc drugiego roku zaraz po zasadzeniu; jest to bardzo drzewu szkodliwe bo ta, choć niewielka liczba owoców, potrzebując wiele soków na swoje wyżywienie, odejmuje mu sposobność wydania gałęzi silnych, istotnie potrzebnych do rozwinięcia jego w pierwszych latach. Starać się więc potrzeba utworzyć mocne drzewo, aby potém korzystać z obfitości owoców; chybaby drzewo nowo posadzone, okazywało dość siły do wyżywienia jednych i drugich, co jednak nie zawsze ma miejsce. Koronę drzewa powinno się

formować, aby była regularna, symetryczna i do równowagi naokoło, to jest nie powinna przeważać gałęziami na jedną stronę bardziéj, niż na drugą, a pień powinien być prosto w środku; do tego łatwo można przyprowadzić, bo tam z któréj strony jest za wiele, wyciąć słabsze, a w którą stronę chcemy aby nową gałąź poprowadzić, uciąć gałązkę nad oczkiem z tejże strony, a ponieważ znaleść można oczka czyli pączki z każdéj strony gałązki, łatwo wybrać do przyzwoitego ucięcia, biorąc się wyżéj lub niżéj. Przy każdem drzewie, jak się już wyżéj powiedziało, ma być pal, tak dla zabezpieczenia od wiatrów, jako téż dla prostowania drzewa. Kołki powinny być z dobrego drzewa, bez kory, — u tych opalić końce, które mają pójść w ziemię, aby nie gniły. Do takiego pala, powinno drzewo być przywiązane łykiem w trzech miejscach, raz u spodu, drugi raz przy koronie, a trzeci we środku; wiązania przekładać mchem i zmieniać je co rok, aby w miarę grubienia drzewa, nie wpijały się. Tak zasadzone i prowadzone drzewka, z pewnością nie odmówią nam korzyści, lecz nietylko w pierwszych latach, ale i nadal potrzeba o nich pamiętać, to jest w zwykłym czasie oczyszczać, zbytnie gałęzie wyrzynać, zasmarowawszy zaraz miejsca ucięte maścią; w czasie zbyt wielkiej suszy polewać i t. d. *J. Poznański.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Majonez.

Na 10 osób bierze się nóżek cielęcych cztery, kładzie się w wodę mięką i jak się raz zagotuje, odlać i drugą nalać, tak niech się gotuje aż się nóżki zupełnie rozgotują; odcedza się i w ten sos kładzie się włoszczyzna, podróbka od drobiu, wyjąwszy wątróbek, trochę octu estragonowego do smaku; tak niech się podgotuje dobrze, a potém wlewa się trzy białka bardzo dobrze ubite, po których zaraz wlewa się półkwaterek wody zimnéj. Tak niech się wszystko gotuje aż się dróbka rozgotują i sos będzie klarowny, wtedy wylewa się to wszystko na serwetę; jak przecieknie odlewa się tego sosu trochę na talerz do ubrania, a resztę wstawiszy w wodę lub na zimnie ubija się; jak się zrobi biały, leje się kubek oliwy, wciska się pół cytryny, cukru pół małéj łyżeczki i znów się bije. Bierze się pięknie ugotowany i rozebrany drób lub ryba wystudzona, macza się w téj masie i układa się na półmisku, a resztę masy rozbić i obłożyć nią mięso; trzeba to układać do koła półmiska, a we środku dziurę zostawić. Potém mieć rozmaite jarzynki powyrzynane i ugotowane każda osobno, jako to kartofle, buraczki, groszek zielony i szablasty, selery, marchew, estragon drobno siekany; to wszystko zaprawić oliwą i octem, kto lubi to i cukru trochę i tak wymieszane razem, włożyć w środek, umyślnie na to w majonezie próżny zostawiony; ten sztam co się odlał na talerz pokrajać w kawałki i ubrać nim po wierzchu majonez; *nota bene* trzeba nóżki w wilją ugotować, bo dużo czasu zabierają.

Pianka pomarańczowa.

10 żółtek z pół funtem cukru wiercić w donicy długo, żeby aż zbielało; sok z jednej pomarańczy i jednéj cytryny przecedzony, wlać w donicę i znów wiercić; dodać kwaterkę gęstéj śmietanki i wiercić; łut jeden karuku rozpuszczony w półkwaterku wody letniéj i wiercić; w końcu piana z sześciu białek bardzo mocno ubita wlewa się i miesza dobrze. Nareszcie w formę lekko oliwą wysmarowaną włożyć i w zimną wodę lub lód wstawić; gdy zastygnie, wyłożyć na półmisek.



Koki według wzorów udzielonych przez pana Kocha, których w jego magazynie dostać można w cenie od 5 do 6 rubli.

Objaśnienie ryciny mód.

Ubranie 1. Suknia z moheru koloru hawanna, powłóczysta, z kilkoma tylko fałdami z tyłu, obszyta czarną taśmą w około i na przodzie. Takież same oszycie zdobi wąskie rękawy i gładki, pod szyję stanik, spięty na guziki, które zarówno zdobią spódnicę i rękawy. Do tego kołnierz i mankiety płócienne, obszyte koronką *cluny*. Kapelusz z suto marszczonego jedwabnego tiulu.

Ubranie 2. Z materjału zwanego *toile d'Irlande* z takąż samą spódnicą, obszytą u dołu wolantem, po nad którym jest wyszyty szlak białą, wełnianą tasiemeczką Suknia także wolantem otoczona, lecz węższym, zakręcającym się na patki podtrzymujące suknię. Tak zwierzchnia jak i spodnia spódnica są bez fałdów. Podobneż obszycie otacza kaftan. Kołnierzyk i mankiety płócienne haftowane. Słomkowy kapelusz wstążka koloru sukni otacza Bóciki z jasnéj skórki.

Ubranie 3. Suknia powłóczysta kroju *Gabrielli*, z jasnéj materji jedwabnéj lub wełuianéj. Stanik wycięty w kanty i czarną obszyty aksamitką. Szmizetka pod szyję, w okcło któréj aksamitka z ozdobami złotemi tworzy rodzaj naszyjnika. Takież same ozdoby na krótkich rękawach i na przodzie spódnicy. Na głowie ubranie z czarnego aksamitu.

Ubranie 4te balowe. Suknia zielona z gazy lub tiulu jedwabnego, o trzech spódnicach z obrębami nawleczonemi tegoż koloru wstążkami. Nad obrębem przypinane białe stokrocie. Staniczek krótki, ubrany także stokrocią, podobnyż wieniec na głowie. Trzewiki i rękawiczki białe.

Ubranie 5. Suknia z surowego fularu naszyta aksamitką koloru wiśni (czarna na szamoa fularze równie pięknie wygląda). Kaftaniczek z kapturem ozdobiony aksamitką i kutasami. Spódniczka biała z falbankami karbowanemi. Kapelusz neapolitański z białą koronką i takąż jak u sukni aksamitką.

O UBIORACH.

Wszystkie paletoty na jesień przygotowane są stanowczo krótkie i chociażbyśmy odezwać się radzi, że na nasz klimat nie koniecznie miłe są te kuse ubrania, my niestety! głosu nie mamy i poskrócamy nasze paletoty, chociażby przyszło tę modę reumatyzmem opłacić. Piękniejsze i droższe okrycia są z tak zwanego aksamitnego sukna, obszywane różnego gatunku futerkiem lub barankami, tańszych ze sukna kosmatego jakby poplątanego (drap bouclé) z wielkiemi ozdobnemi guzikami, można dostać w cenie 20 do 25 rubli. Najwięcéj jest wolno puszczonych paletotów, z rękawami wąskiemi, gdyż w Warszawie nie bardzo jeszcze chętném okiem patrzą na rozszerzone rękawy u okrycia, na chłodną porę przeznaczonego.

Nie jedna ładna twarzyczka dąsa się już na myśl zimy a z nią nieuniknionego futra i cięższego kapelusza, ale to są płonne obawy!

Od czegóż magazyny, które dzień i noc to tylko zajmuje aby naszym paniom było do twarzy w tém, co włożą na siebie. A na prawdę nie bezskuteczne są te uparte starania i zabiegi. Na zimę przygotowują się śliczne stroje. Po magazynach pokazują jeszcze paryzkie tylko wzory, ale przerabianiem ich już się zajmują.

U pani Włodkowskiéj oglądałyśmy istne pieścidełka. Kapelusz z błękitnego aksamitu, ubrany nad czołem i w około perłową frendzlą, bardzo był do twarzy blondynce. Inny znowu ciemno hawanna z wielkim motylem z mieniących się piórek nad czołem, ubrany czarnym dżetem arcy pięknie wyglądał. Ceny tych wzorów są dla oszczędnych ludzi przerażające. Fasony mniéj więcéj są te same, z tą jednak różnicą iż główka nie jest zaokrąglona, ale zupełnie płaska. Dżet jest niezmiernie w modzie, wszystko nim ubierają aż do przesady; kapelusze z tym wystrojem po parę funtów ważą i trzeba bardzo wytrwałéj głowy, żeby ten ciężar zniosła, ale tutaj będzie się sprawdzać przysłowie, że dla piękności cierpieć trzeba. Naszyjniki czarne, lawowe i kolczyki takież są bardzo noszone.

Ubrania na głowę gustowne i ładne widziałyśmy u pp. Włodkowskiéj i Adeli. Ubranko jasno niebieskie obszyte perłową frendzlą, jest tam bardzo gustowne. Płaska kokarda przypina się nad czołem, a aksamitka z perłami spadając na piersi tworzy naszyjnik, co niezmiernie ubiera. Inne znowu przypinają się na kok i mają długie spadające końce, wkoło obszyte dżetem, perłami lub koronką kluni.

Także ładne stanowi ubranie mchowa róża wpięta w koronkową kokardę, któréj końce bardzo zgrabnie spadają na szyję.

Halki noszą wielce strojne. Ubierają je aksamitnemi medalionami obszywanemi grubą koronką, szlakami tureckiemi, i t. p. i dobierają je po największéj części do koloru sukni, albo też je robią z téj saméj materji.

W modach tegorocznych przypominają się czasy pierwszego cesarstwa, głównie panuje styl grecki; suknie zupełnie gładkie z przodu kończą się długiemi ogonami. Krynoliny znacznie się zmniejszają, najmodniejsze mają zaledwie cztery łokcie obwodu. Wszystko im przepowiada blizki upadek.

Pan Włodkowski sprowadził do swego magazynu mnóstwo wyborowych, angielskich towarów, na zimowe suknie, które, jeżeli się komu nie wydadzą bardzo tanie, niezawodnie musi je za bardzo trwałe uznać. Są to materjały mięsiste, któreby były za ciężkie do układania w draperje na spódnicy, ale że ten sposób skracania sukien już wychodzić zaczyna z używania u kobiet dobrego tonu, a fałdy stanowczo na wygnanie skazane, więc materjały te okazały się wyborne do kolistego kroju i ciepłe zarazem. Są to: *Skerting* w pasy, suknia r. 18 *Spected Linsey* 20 rubli, *Tuit Linsey* od 27 do 30 r. *Cameleon loth* są nieco pstre, to jest jak to dawniéj nazywano chiné, Kambre (Chambray) po rubli 1 kop. 5 łokieć jest w prześlicznych kolorach fioletowych, szafirowych i dzikich. Osoby niskie, mniéj potrzebujące na suknię, mogą ją już kupić za 16 i 17 rubli, tém łatwiéj że w materjach, które nie mają góry i dołu, z jednego bryta, dwa się krają. Składa się go wzdłuż na ukos w taki sposób, żeby jedna część miała mniéj więcéj trzy ćwierci łokcia szerokości, a druga najwięcéj półtoréj ćwierci. Na przód i na tył dają się bryty całkowite po obu bokach od góry ścięte, do nich przyczypiają się bryty węższe, swoją stroną prostą, to jest tam gdzie brzeg, trzy po jednéj, trzy po drugiéj stronie, przestrzegając żeby zawsze brzeg prosty z ukośnym brzegiem się stykał. Te sześć brytów wąskich utworzyło się z trzech całkowitych, a tak na suknię, mającą blisko 9 łokci obwodu tylko pięć brytów nie zbyt szerokiéj materji wychodzi. Bardzo często szwy się zdobią jakiemś naszyciem, aksamitką, pasmanterją, giupiurą podwleczoną kolorową wstążką, stosownie do gatunku sukni. Jedna z sukien, którą

oglądałyśmy u pani Włodkowskiej, była z Linsey'u jasno lila, na szwach jéj były ukosy krajane z tego samego materjału na dwa palce szerokie, z wypuszczonym, w kształcie wypustki, po obu stronach, czarnym kamlotem złożonym we dwoje. Dwa przystębnowania z białego jedwabiu, odstępujące nieco od brzegu materji, przytwierdzały to wszystko, ukosy zaś te szły od pasa, kończąc się na dole czarnym guzikiem, nie dochodząc na dwa cale do dołu spódnicy. Do tego był pół wcięty paletocik, krótki, przedłużony na bokach dwoma zębami zakończonemi kutasami czarnemi, cały naszyty podobnymże ukosem z wypustką czarną i stębnem białym. Suknia ta robiona była na wzór w Londynie, francuzi bowiem na ten rok znaleźli się jakoś wyczerpani w pomysłach mody i naśladują swych zamorskich sąsiadów. Z francuzkich wyrobów znajdują się w magazynie p. Włodkowskiego, prześliczne burnusy prawdziwie arabskie, bo wyrabiane w Algerji, z lekkiej jakiejś tkaniny, przerabianej złotem. Te burnusy czy beduiny są stosowne do wielkiego ubrania, na wejście do sali balowej lub na teatr. Nadeszły do tego magazynu również francuzkiego wyrobu paletoty haftowane, nie uszyte, w sztukach, z formą zakreśloną nitką na sukienku cienkiem lub na tak zwanem suknie aksamitnem, prześlicznym wyrobie na ciepłe okrycia. Haft składają rzuciki z dżetowych perełek, lub wyszywania jedwabnego sutaszu.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Farbowanie podszewki na zielono.

Grynszpan utłuczony moczyć na słońcu przez dni 9 w miękkiej wodzie, zlać potem tę wodę czysto i w niej namoczyć na chwilę przeznaczoną do ufarbowania materję, którą następnie znów zaraz zamoczyć w wodzie z rozgotowanem mydłem. Przeprać prędko, wytrzepać i rozpiąć żeby wyschło.

Farbowanie na czarno.

Ugotować kory olszowej, dodać koperwasu i trochę ałunu i gdy ta mieszanina będzie najgorętsza, maczać w niej po kilka razy rzecz mającą się farbować.

Farbowanie na orzechowo.

Wygotować odwar z utłuczonej kory dębowej, dodawszy trochę koperwasu i ałunu, maczać w tém materję, a następnie przepłókać w wapiennej wodzie, którą się otrzymuje zmieszawszy trochę wapna niegaszonego z wodą i zlawszy tę wodę w inne naczynie, gdy się ustoi.

Farbowanie na morderowo.

Fernambuku za zł. 1, grynszpanu za gr. 6, ałunu za gr. 3, gotować w garncu miękkiéj wody przez trzy godziny i w gorącem maczać.

Farbowanie na różowo.

Krokosz namoczyć w miękkiej zimnéj wodzie, zawiązany w mocnym płóciennym worku, trzeć mocno odlewając wodę i świeżą nalewając, póki na worku plamy czerwone się nie ukażą i farba żółta z niego ściekać nie zacznie. Przelewać następnie po trzy razy ługiem makowym ciepłym, a farbę z każdego przelania i tarcia zachować w oddzielnem białem, porcelanowem lub fajansowem naczyniu. Do każdej z tych trzech farb wlać tyle octu winnego, aż farba zacznie się burzyć i potém w każdej z osobna maczać białą, przeznaczoną do farby materję, trąc ją w rękach z farbą mocno, im

bowiem mocniej się trze, tem rzecz ufarbowana jest piękniejsza. Przepłókać potém w letniej serwatce i suszyć na wolnem powietrzu.

Farbowanie na popielato.

Najpowszechniej używane są podszewki popielatego koloru, który na bawełnę lub płótno białe nadać można następnym sposobem: 10 łutów tłuczonego galasu i 2 łuty brezylji, w 8 lub 10 kwartach wody gotować pół godziny, odwar ten przecedzić przez płótno i ostudzić tak, aby ręka wytrzymała. Przedmiot mający się farbować dobrze w tej wodzie przerobić i zostawić namoczony na godzinę, potem zlać i dodać do niej 5 łutów żelaznego witriolu miałko utłuczonego aby się łatwo rozpuścił, wymieszać i jeszcze raz na pół godziny namoczyć; w końcu wycisnąć i według upodobania gumować lub tylko wysuszyć i maglować.

Komputy pieczone.

Owoce przeznaczone na komputy, śliwki, morele, brzoskwinie lub bery, obrane ze skórki, a truskawki lub poziomki oczyszczone, układać w słojach miernej wielkości (najlepiej w słoikach z szyjkami, garłaczami zwanych), przesypując miałkim cukrem i uciskając trochę; jak są pełne zostawić na parę godzin, a potem jak osiądzie, znów dopełnić owocami i cukrem, obwiązać szczelnie papierem i pęcherzem po wierzchu i wstawić w piec gorący po chlebie, a nie wyjmować aż ostygnie zupełnie. Taki kompot jest trwalszy jak inne, zachowuje smak i aromat właściwy i najłatwiejszy do zrobienia, wynagradza więc sowicie różnicę małą w ilości cukru, którego trochę więcéj wychodzi, a że bez wody, więc trwa parę lat nawet, w najlepszym stanie.

Pieczeń wołowa po prusku.

Weź tłustą pieczeń zrazową upiecz na rożnie przez połowę, potém zdejm ją, włóż w rądel, w który na spód podłóż słoniny w listki krajanej, różnemi korzeniami zmacerowanej, obgotuj przez kwadrans, włóż w rądel pół główki kapusty, wlej bulionu lub rosołu dobrego, zagotuj, włóż jeszcze 4 kiełbaski, osól, opieprz, zagotuj znowu, a gdy już będzie dosyć wyłóż na półmisek, kapustą do koła obłóż, kiełbaski połóż na wierzchu i polej sosem przez sito przecedzonym.

Cielęcina po piemoncku.

Cielęcinę wymyj dobrze, w zrazy pokraj, słoniną naszpikuj, włóż w rądel, postaw nad małym ogniem niech się zrumienią na obydwie strony, wlej bulionu lub rosołu dobrego, osól, opieprz, przydaj cebuli, pietruszki, niech się zwolna gotuje, zapraw sos żółtkami i zaciśnij cytryną.

Cielęcina duszona.

Cielęcinę wymytą naszpikuj słoniną, obgotuj krótko w wodzie gorącéj, dogotuj zaś z buljonem, przyłożywszy pietruszki; wyjmij z rądla, zbierz tłustość, przecedź sos przez sito, w inny rądel, wygotuj go dobrze; włóż potem w ten sos cielęcinę niech się uglaseruje, gdy się z téj strony gdzie szpikowana uglaseruje, ułóż na półmisku.

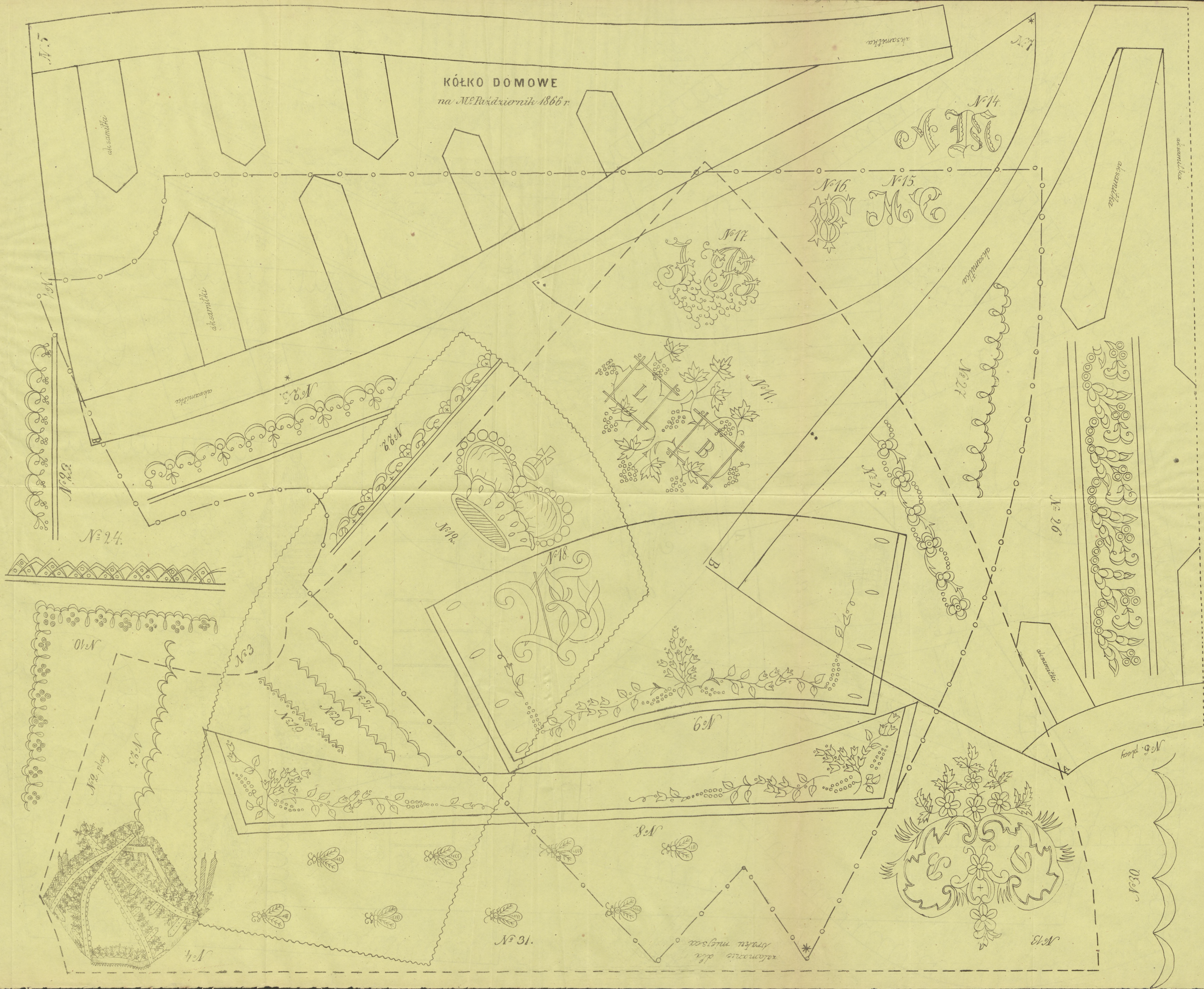
Cielęcina opiekana.

Obmywszy cielęcinę, utarzaj w mące osolonej, włoż w tygiel masło gorące i aby się na obydwie strony upiekła, przewracaj, lub upiecz ją na rożnie masłem polewając. Przełóż potém cielęcinę w rądel, nalej rosołem przydaj bobkowy liść, kwiatu muszkatołowego, niech się z tem wszystkiem gotuje, zabiel jajami z rosołem, przylej trochę octu, zagotuj, wylej sos na półmisek i wydaj.

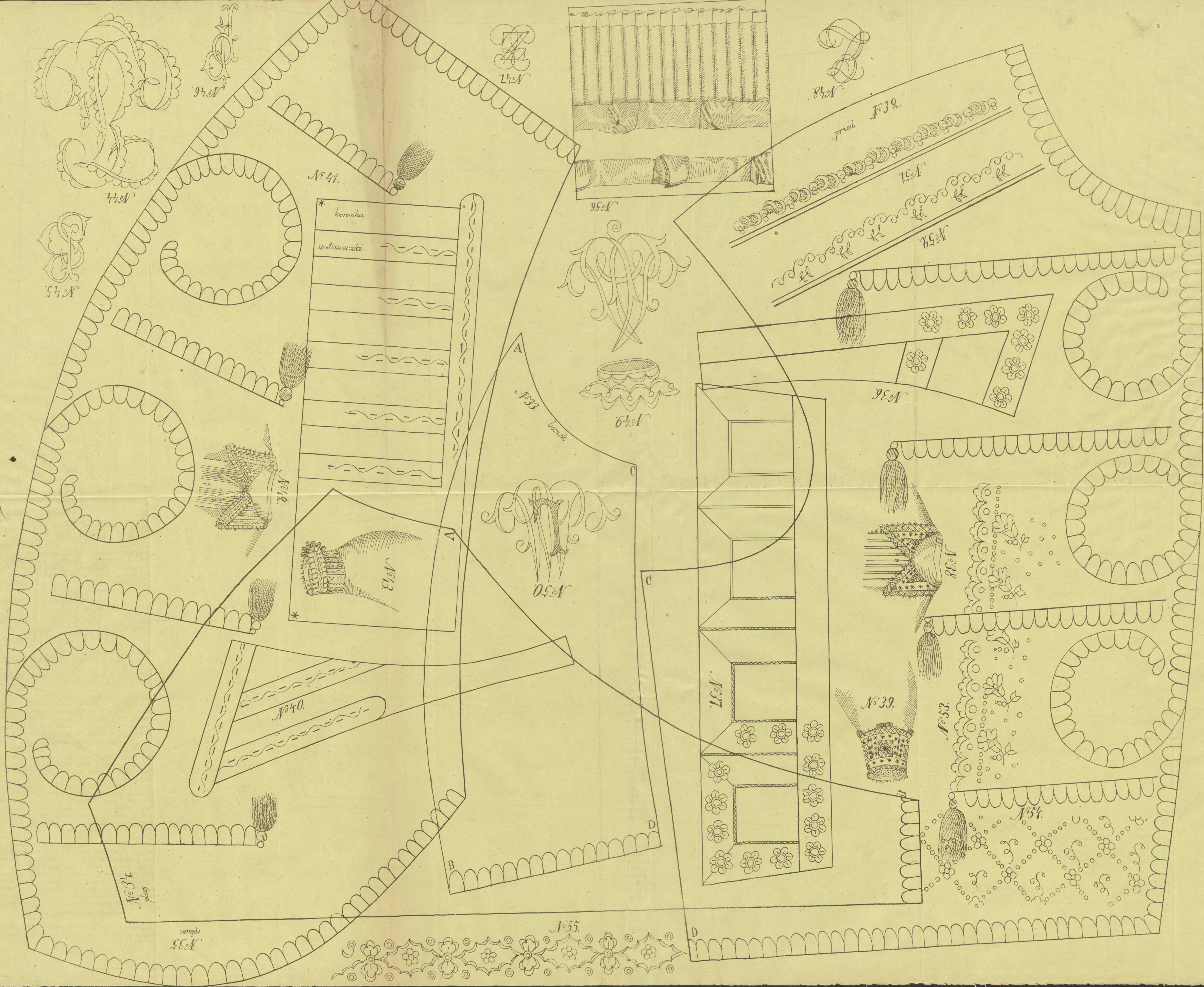


KÓŁKO DOMOWE

Wrzesień 1866 r.



KÓŁKO DOMOWE
na M. Październik 1866 r.
N. 5
aksamitka
N. 7
N. 14
N. 16
N. 15
N. 17
N. 11
N. 23
N. 22
N. 24
N. 10
N. 3
N. 21
N. 20
N. 19
N. 25
N. 12
N. 18
N. 9
N. 8
N. 27
N. 28
N. 26
N. 6 plecy
N. 13
N. 30
N. 31
N. 4
N. 2 plecy
załamanie dla kraju miejsca



koronka
wstaweczka
№ 41.
№ 33.
bocznik
№ 40.
№ 37.
№ 39.
№ 53.
№ 54.
№ 55.
№ 34.
№ 32.
przód